Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

„LISTY DO PRZYJACIÓŁ" ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Cena 60 groszy

TYGODNIK

Nr. 18 (70) Warszawa, Niedziela 3 maja 1925 r. Rok II

Jalu Kurek

Filip Tomasz Marinetti

Obudźcie się spokojne folwarki
otwórzcie otwórzcie czerwone skrzydła
swoich dachów
aby lecieć wraz ze mną w twoje głośne
bicie
Sycylio nowe serce Włoch skaczące
z piersi mej ojczyzny
zapałem zwycięstw!...

(„Aeroplan papieża")[1]

FILIP TOMASZ MARINETTI

D'Annunzio, ktoś powie. Nie, to Marinetti.

Tak pisał Marinetti, kołysząc się w aeroplanie o tysiąc metrów nad siarczaną paszczą Etny. Był to programowy apel nowego kondotjera literatury do symbolicznej Sycylji młodej awangardy włoskiej. Ten sam apel trzy lata przedtem został wyrzucony w formie bardziej genjalnej i poetyckiej w pierwszym manifeście futuryzmu. Na nieustraszonego fanatyka italskiego genjuszu polała się już wtedy obok rynsztoków szyderstwa i ciepła woda uznania. I wtedy w „wieczystym duchu goljardowskim" Filipa Tomasza obudził się w wietrze rewolucyjnej ewangelji śpiący w nim przestrzenny sentyment poetyckiego lotnika.

Czuję, że mi się pierś otwiera jak
ogromna przepaść
gdzie cały błękit nieba rozkosznie się
zanurzy
ulewny pieściwy i chłodny.

Jestem oknem otwartem zakochanem
w słońcu
które do słońca płynie....
Kto jeszcze potrafi zatrzymać
okna zgłodniałe chmur i balkony pijane
od ognia
które się dziś wieczór drą w starych
murach kamienic
ażeby skoczyć w przestrzeń?...

(„Aeroplan papieża")

Ten sam i jednaki poetycki pytajnik, wyczuty przez głębię antropomorficznego ujęcia natury — ten sam rosnący w nim ferment rewolucji i równoczesna spontaniczna nienawiść romantyzmu drgają już w początkowych melodjach Marinettiego, tonących w brokacie olśniewających porównań.

Och! Cudowne zachody
jutrzenki kolorowe przyjdźcie
ufarbować tu wasze policzki
i wasze powłóczyste powieki!
Romantyczni poeci wróćcie się gromadnie
a znajdziecie na brzegach tej rzeki
latarnie weneckie bardziej powłóczyste
niż kiedykolwiek śniliście!
Są otoczone różami i poplamione krwią
i mają żółte liście...

(„Aeroplan papieża")

Dużo zarzuca się realizmowi ekspresji Marinettiego. Jest rzeczą pewną, że w neoklasycznej i werystycznej literaturze Włoch niewiele jest książek, które mogłyby się poszczycić taką gamą najprzeróżniejszych bezeceństw, jakie np. można spotkać w jego powieści „8 dusz w jednej bombie". Zachodzi tu jednak zasadnicze nieporozumienie w tej materji. Marinetti w obawie, aby go nie posądzono o erotomańskie estetyzowanie kwestji t. zw. uczuć i to uczuć zmysłowych, zdobył się na realizm mocny i bez zapachu (witalistycznego). Jest to realizm poetycki. W dawnym realizmie werystycznym istniała tendencja grania na instynktach buduarowemi perfumami opisów.

Odrzucenie całego „sentymentalizmu intelektualnego, jaki się łączy ze słowem natchnienie", nie popchnęło Marinettiego w przepaść alogizmu i poetyckiej abstrakcji. Nawet w jednej z najradykalniejszych kreacyj futuryzmu w literaturze, w ostatnich jego lirykach taktylistycznych, w których usiłuje w słowach oderwanych komunikować swoje emocje w formie wrażeń dotykowych, — czuje się gorący wiew poezji, bardziej skondensowanej i pogłębionej niż przedtem, ale zawsze tej samej wulkanicznej i żywej.

Aksamitna wstążka świtu na długim
długim niebiesko falistym dywanie
morza podniecającego ciepłego od no-
stalgji
Położyć się Ślizgać się we śnie
Na prawo miłosne ciśnienie poduszek
(każda poduszka wysokości 50 m.)

Drażniący skwarny wiatr marszczone-
go jedwabiu i skóry zamszowej
Brutalnie rozbija go nagły atak lodo-
wych gąbek
Powolne człowieczenie dotykowe
atmosfery o zachodzie Na kark
mi spada 20 lasów włosów kobiecych
(każdy las 150 000 włosów)
Oto 300 koni nabrzmiałych liryczną
krwią ociera sobie boki o mój nos
w galopie Bez końca Potem
2000 psów w całym pędzie wpada w
przesmyk moich nóg

Pauza Nieruchomość
Apatja
8 powolnych kilometrów wachlarzy
z piór
Z południowego wschodu ofensywa
elastycznych krystalicznych kul peł-
nych przyjemnych sprężyn
(Trwa 10 minut)
Zapadnięcie się poduszek z ciepłego
jedwabiu (około 3000) Duszenie się

(„Żegluga dotykowa")

Profil poetycki Marinettiego jest niezmiernie skomplikowany. Nie tyle może dla jego wszechstronności twórczej, ile dla jego ciągłej rewelacyjności. Spontaniczna i, żeby się tak wyrazić, wegetatywna exuberancja jego dzieł przeszkadza wejrzeć w głębszy nerw i motor twórczości Marinettiego. Jego tropikalny fanatyzm dla idei przysłania nam osobiste jego wzruszenia wobec sztuki. Marinetti, wyjęty z ramek paradoksu i bluźnierstwa, wygląda jak Chaplin Iwana Golla po zeskoczeniu z ulicznego afisza. Tem wyraźniej ukazuje się nam jego twarz, porysowana twarz Don Kichota, walczącego z wiatrakami księżyca.

Prócz tego coś więcej. Myślę, że jest indyjskim fakirem szybkości, mistycznym apostołem liczb, przez którego palce przelewają się gorące elektrony zmechanizowanego życia. I pomimo, że jest u niego kilka teoryj, na które, specjalnie w naszym klimacie, zgodzić się jeszcze jest trudno, uznajemy jego niepospolitą i genjalną indywidualność i stwierdzamy, że jest on jedynym konsekwentnym anarchistą sztuki. Ma tę żelazną logikę, że paląc na stosie poetyckiej intuicji katedry medjolańskie i psychologję, buduje równocześnie słowa wolne i teatr syntetyczny. Jest jednym z tych, którzy stoją jeszcze ciągle w pogotowiu na platformie pośpiesznego pociągu, skierowanego ku krainie nowych intuicyjnych wyczuwań tej samej, wiecznej i jedynej Sztuki.

Kiedy odwrócę głowę widzę daleko
daleko
niebieski szal miłości
strzępiący się na bladych dalach
w niebie które szaleństwo mej duszy
coraz bardziej podnieca i zapala...
. . . . . .
Tak ciskam głos mego nocnego bólu
w otwarte niebo w szerokość mlecznego
morza
jak sieć olbrzymią
otoczoną wędkami które drżą.
Ale wy nie chcecie dać się złapać
o łuskowate i pluskające gwiazdy
absolutu!...

(„Aeroplan papieża")

Tak — zdaje się, że to paseistyczne, liryczne wyznanie stanowi w swojej głębi ostateczną i prawdziwą syntezę Marinettiego, zamaskowanego romantyka rozpędzonych kół, w którym jednakże krzyczy także zielona tęsknota mórz.

[1]) Wszystkie przekłady pochodzą z „Antologji włoskiej" Jalu Kurka.

Mieczysław Roman Fraenkel

Lafcadio Hearn

Tregedja nieznana w Polsce jednego z tego „bractwa pasji", jak w swoim czasie nazwał wszystkich męczenników ducha nasz Juljan Klaczko. — Pierwsza połowa życia Lafcadio Hearna jest jednem pasmem tragedji, którą na szczęście zasłania blask słońca w drugiej jego życia połowie.

LAFCADIO HEARN

Syn Irlandczyka i Greczynki, wyrzuciny bez środków do życia jako 19-letni młodzieniec na twardy bruk obcych miast, bez rodziców i bez domu, szukał różnych sposobów zarobkowania w Ameryce i nie zaznał w krainie „nieograniczonych możliwości" szczęścia. — Ten pątnik, szukający podświadomie ścieżki na Monsalvat, borykał się z losem długo i namiętnie, by dojść nareszcie do przekonania, że drapacze chmur nie są tumami gotyckiemi i że z innych są wzniesione pobudek. — Wśród walki o życie zrozumiał, że duch uchodźców z okrętu Mayflover wyemigrował z ziemi Kolumba, której centrem stał się Wallstreet a ideałem kolumna wolności w cieniu Tamanyhall.

Lafcadio Hearn nie był stworzonym na miarę przeciętnego emigranta, który fizyczną pracą chce zarobić na kawałek chleba. Nie mając wytkniętych celów i ograniczonych horyzontów, z jednej skrajnej nędzy wpadał w drugą i często zmuszony był wykonywać prace tak podłe, że jedynie marszruta w niewiadomym kierunku uratowała go od ostatecznego znikczemnienia. — Nigdy w życiu późniejszem ten artysta nie zdradził, jak nisko i jak często upadał pod brzemieniem życia, pojętego w sensie amerykańskim mechanicznie, i myślę, że w przemilczeniu tem tkwi pełny heroizm człowieka, który, grzęznąc w błocie, oczami szukał innego losu, gdyż anima lacrimans bezwiednie wyrywała się do słońc wschodzących.

U każdego artysty nowoczesnego różnica między zwykłością a nadzwyczajnością, między zjadaczem chleba a człowiekiem twórczym, nie dała się tak uchwycić jak u niego. Człowiek zwykły zmagający się z nędzą musi zginąć, skoro w braku oparcia innego nie może oprzeć się o własny stos pacierzowy. — Wola jego zależną jest od sprężystości systemu nerwowego, od stosunku siły jego odporności do przeszkód zewnętrznych. Artysta z tej walki w życiu codziennem ucieka w świat swój odrębny, zrzucając z siebie palącą koszulę doczesnej biedy. Załamanie się powstaje, kiedy artysta mimowoli zniżyć musi lot, by nie stracić z oczu śladu własnego pełzania w walce o elementarne potrzeby życia. Lot jego nabiera wtedy cechy jakichś chaotycznych podskoków w górę i nagłych przykucnięć, jednem słowem ruchu, przypominającego łkanie okrutnie zrozpaczonej duszy. W okresie amerykańskim twórczość Lafcadia Hearna składa się z całego szeregu takich przyziemnych podskoków. Są to odruchy duszy przygwożdżonej do ziemi i łopoczącej zakrwawionemi skrzydłami. Z jakiem uczuciem ulgi czyta się szkice z owych czasów, gdy się poznało jasną jego twórczość późniejszą. Po wielu perypetjach, poniżany często w niemożliwy sposób, dostał Lafcadio Hearn mimowolnym zbiegiem okoliczności zajęcie reportera. Zgłosił się po nie zapewne tak, jak w każdy inny dzień tych długich lat jego wędrówki życiowej wystawał przed bramami fabryk, lub starał się o posadę zamiatacza ulic. Ktoś mimochodem w kraju business'u potrzebował reportera i wyrwał go z odmętu męki pracy fizycznej, by go wtrącić między galerników pióra. Był to jednak szczebel. Poznano się na nim i wysłano go po jakimś czasie jako współpracownika do Japonji.

W krainie wschodzącego słońca on, człowiek dotąd bezdomny, bez przynależności, dającej się geograficznie określić, wędrowiec, który życie sterał na walce o najprymitywniejszy chleb powszedni, suchy a od łez wilgotny, jednem okiem widzącem (drugie ślepe) ogarnia, bada i wchłania w końcu w siebie całe życie Nipponu. Dziecko skrzyżowanych dwu kultur, Zielonej Wyspy i półwyspu Hellenów, Anglik a cierpiętnik amerykański, rab i murzyn kapitalistycznej hiperkultury amerykańskiej, spojrzeniem dziecka ogląda ten nowy kraj wyspiarzy z tamtej strony pacyfiku. W spojrzeniu tem odbita Japonja staje się jego odkryciem. Ten człowiek, który długie lata żył życiem utajonem tropionej zwierzyny, odnajdującej się rzadko w chwilach, gdy nikt nie prześladuje, przyszedł właściwie dopiero na świat w kraju Samurajów.

Niby małe dziecko wyciągnąwszy dłonie dziwił się wszystkiemu, nazywał rzeczy po imieniu i bawił się ich kształtami. Odkrywając świat, bo światem dla niego był ten nowy kraj, nie rozróżniał jak dziecko granic między sobą a nim i uważać zaczął siebie samego za część tych wrażeń zewnętrznych: przeobraził się w Japończyka. Ziemia, która go przytuliła, stała się jego matką. Niema nic z opisów podróżnika w jego tomach o nowej ojczyźnie, gdzie właściwie się dopiero urodził. Jako profesor wyższej szkoły japońskiej kocha żółtych studentów prawie jak rówieśnik i pisze o nich czulej, niż o bliskich, ciepłej, niż o pierwszej kochance, wędrując po kraju, nie patrzy na nic oczyma cudzoziemca, lecz okiem człowieka, który chce poznać wszystko, by się radosną podzielić nowiną. Nie zmąciło mu to dojrzałości sądu, ale ujęło przenikliwość jego spostrzeżeń w pasmo doskonałych, a głębokich studjów, malowanych czasem z dokładnością Hokusaya. Umiłowanie rzeczy i ludzi wzbogaca jego paletę pisarską o kolory, które jedynie radosna ciekawość i szczęście jej zaspokojenia stworzyć mogły. W tomach „Kokoro", „Lotos", „Izumo", „Kyushu", „Kwajdan" i „Budda" zbudował Lafcadio Hearn ojczyźnie swojej ołtarz z nieociosanych czasami kamieni, a jako całopalenie złożył na nim „myśli swych przędzę i uczuć swych kwiaty". Książka Percivala Lovella o duszy Dalekiego Wschodu dotknęła tylko naskórka duszy japońskiej i nie dała tak bezpośrednio, tak in flagranti rozwiązania zagadki wewnętrznego życia, konstrukcji psychicznej i dla oka europejskiego niewidocznego napięcia cięciwy woli tego najbardziej kulturalnego narodu na Wschodzie.

Czytając „Legendy" lub „Fantazję" Hearna z okresu aferykańskiego, nie można wyjść z podziwu, jak odmładzająco podziałała na niego ta metamorfoza i w jakim stopniu życie japońskie go wzbogaciło. Manierę wnikania w rzeczy płytkie, które przy pogłębieniu i filozofowaniu nad niemi okazywały często brak dna i przyrodzoną „dziurowatość", zastąpiło teraz wejście w rzeczy i oglądanie ich z wnętrza, umieszczanie się w ich jądrze.

W książkach jego o Japonji znajdujemy ustępy poświęcone japońskim dzieciom. Ze szczerem uczuciem zazdrości czyta się o przywiązaniu dziecka japońskiego do szkoły, o miłości macierzyńskiej, która najgłówniejszą wagę kładzie na kult rycerskości w wychowaniu, z czem rzadko się spotkać można u narodów rasy białej. Przytem Hearn ma oko otwarte na wady i umie je z całą dosadnością podkreślić. Stara się je wytłumaczyć, zrozumienie ich uprzystępnić, słowem: retuszuje je.

Dzięki jego książkom otwiera się nagle przed oczami nowy krajobraz o wegetacji bujnej i nieznanej, o ludziach dziwnie bliskich, zbliżonych do nas przez jego soczewkę miłosnego patrzenia. U stopni świątyń, z tajemniczym, niepojętym a doskonałym Buddą bawią się dzieci, podkreślając swoją radością dziecięcą harmonję uśmiechniętego Gautamy. Ponad stronicami tych tomów wspaniały Fuyimo patrzy na czytelnika.

Lafcadio Hearn tak dalece zrósł się z Japonją, że nie chciał więcej być europejczykiem. Ożeniwszy się z Japonką, przeszedł na buddyzm, wszedł przez małżeństwo w sfery najwyższej japońskiej arystokracji i przyjął nawet nazwisko japońskie rodziny, która go adoptowała. Zgon jego był żałobą narodową i Japończycy twierdzili, że woleliby najdotkliwszą klęskę na polu walki, niż śmierć tego przybranego syna.

Wartoby niektóre z książek jego, lub wybór z jego pism wydać w języku polskim.

J. K. Iłłakowicz

Do śmierci

Janowi Lechoniowi.

I

Odpocznienia dusza od Śmierci czeka,
wątła, przejrzysta, jak opłatek lekka,
zaprzężona w trud nad siły jak ptak do pługa;
ciężka jej, nieporęczna każda posługa.

A pogania ją dozorca, każdy dzień
i purpury żar i szafir ściera zeń...
Do taczek ją przyniewolili,
że już słabnie i do ziemi się chyli.

Niema odpocznienia dla nędzarzy,
przymus sam nad ziemią gospodarzy:..
...I wybiega tylko śpiew, jak pies przed wrota,
wypatrywać Śmierci — czy już nie migota:

„Już się w mrokach do nas coś przybliża,
już zakwitło płomię koło krzyża,
już się trawa pochyliła niska,
już w alei słychać gwizd kosiska.

Już ją widzę, słyszę mało-wiele:
lśnią, kołacą dźwięczne jej piszczele,
już na moście, gdzie bulkocze rzeczka,
iej łagodna wabi fujareczka".

II

Cóż tu porzucać, cóż żegnać wypada mi,
zanim zgaśnie płomyczek, co jeszcze ćmi?!
Niema takiego pragnienia, takiej strasznej, bolącej rzeczy,
której Śmierć ciemnozłota nie zaspokoi i nie uleczy;
niema tej nienawiści i niema takiej miłości,
którejby nie nasyciła prędzej od życia i prościej.

Nie żegnać mi trzeba — miejsca, zdarzenia, obrazu ni lica...
Nagle się będzie w przestrzeni nakształt światłości księżyca,
Śmierć przy nas stanie mosiężna z zimnemi, uczciwemi oczyma
i w czem tylko życie zwiodło — naraz nam wszystkiego dotrzyma.
Wszystkie rozkosze, uciechy, odkrycia, klejnoty, podróże
zleje w jedno i poda do rąk nam olbrzymią, płonącą krużę.

III

O Śmierci, sługo Boża, wybaw mię od Zła i Ciała,
abym w twem ręku jak róża rozkwitła i pachniała,
wybaw mię od bojaźni, wybaw od troski i trądu,
daj się wypełnić szczęściem bez męki, bez krzywdy, bez sądu.
Daj doznać pośród ciemności twego nagłego olśnienia,
niech będzie wreszcie — po czasie!... i niech się nic już w wieczności nie zmienia.

Podaj żelazną twą rękę i wyrwij z śmiertelnego spowicia...
Uratuj mię, tonącą, uratuj mię, uratuj od Życia!

Antoni Słonimski

Listy do przyjaciół

Curityba, w styczniu 1925.

25 stycznia.

Rankiem wyjechaliśmy z Curityby do Paranagua.

Statek „Itapuhy", należący do prywatnej kompanji „Costeira", miał być podobno nieco lepszy od okrętów rządowych. Istotnie zaobserwowałem pewne znaczne różnice. Na statku „Lloydu" w kabinach był większy smród niż na korytarzu, na okrętach „Costeiry" zaś korytarze były znacznie bardziej śmierdzące od kabin. Co do jedzenia, sądząc według zapachu i widoku, nie różniło się ono wiele — od produktów już raz spożytych i przetrawionych. „Itapuhy" był mniejszy od wszystkich okrętów, jakie mi się udało spotkać w życiu, nie wyłączając statków na Wiśle, nic więc dziwnego, iż przy silnej fali i wzburzonem morzu skakał, byli prawie wszyscy chorzy na morską chorobę, nie licząc dziedzicznego obciążenia i licznych chorób skórnych. Komisarz statku był to „karzeł z dużą głową, Murzyn — wymarzony jeśli chodzi o straszenie dzieci. Trudną swoją pracę wypełniał z honorem: z wielkiem zaparciem jadł wszystkie potrawy, podawane przy stole, i nie wypluwał na

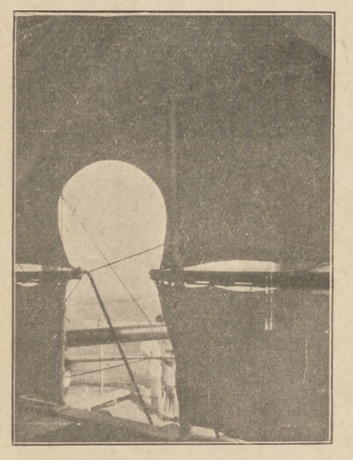

WJAZD DO BAHII

talerz. Noc przepędziliśmy śpiąc na krzesłach na pokładzie.

4 lutego 1925.

Roślinność brazylijska jest pono najbogatsza, zatoka Rio jest uznana za najwspanialszą zatokę na świecie, jeśli dodać do tego góry obrosłe dziewiczemi lasami, plaże ciągnące się dziesiątki kilometrów, jeśli jeszcze wspomnieć o owocach pachnących jak kwiaty i o kobietach pachnących jak owoce, jeśli przypomnieć jeszcze o beztrosce tego miasta, po którem w każdej porze dnia przechadza się tysiące osób ubranych w kostjumy kąpielowe, no i jeśli się w końcu pozna choć przelotnie karnawał w Rio — trudno nie tęsknieć za tem miastem. Ostatnie pięć dni spędzone w Rio były długiem tkliwem pożegnaniem. Raz jeszcze do ogrodu botanicznego, raz jeszcze na Corcovado. Co rano biegliśmy przez ulicę do kąpieli; pryskając wodą, roześmiani tańczymy na falach. Słońce praży, ale woda jest zimna, — w pokoju jest gorąco, ale wino jest mrożone — wszystko to potęguje radość życia, tę prymitywną radość, tak niebezpieczną dla ludzi myślących, bez której poznania można być wielkim, lecz trudno być człowiekiem.

Ostatnie dni w Rio były krótkiem szczęśliwem pasmem, przyprawionem lekko miłą melancholją odjazdu. Ostatnią noc spędziliśmy na zabawach ulicznych: Pierwsza noc karnawału. Avenida Rio Branco zapchana ludźmi — trotuary tak miękkie jak dywan — przysypane wprost, jak (nieznanym tu) śniegiem, stosami kolorowych confetti. Środkiem ulicy suną auta przybrane kwiatami, z których wyrastają wielkie maszkary, kukły karnawałowe — a więc Chaplin wysokości dwupiętrowego domu, Harold Lloyd, nie-

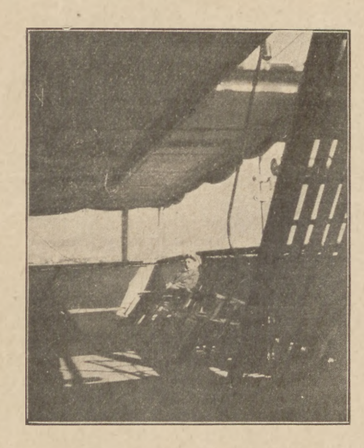

OSTATNI DZIEŃ SŁONECZNY

wiele mniejszy, i różne potwory bez imienia o wielkich głowach i czerwonych nosach. W kioskach przybranych światłem i zielenią grają shimmy i jawę, tak iż cała ulica kołysze się rytmicznie w takt tańca — zdaje się, że samochody nawet podnoszą na zmianę to lewe to prawe koło, a domy, wbrew prawom statyki, z całą nonszalancją stukają się dachami, włażą na tłum albo uciekają na placach, tworząc nagłe puste miejsca, na które zwala się roztańczona ciżba. Każdy mężczyzna trzyma w ręku szpryckę z wodą pachnącą lub częściej z eterem, którego zapach potęguje jeszcze to uczucie szału. Zapach eteru jest dla mnie zapachem dzieciństwa — przypomina mi pierwsze motyle trzepocące się w białej siatce, pierwsze wonnice piżmowe i jelonki usypiane eterem w zielonej blaszanej botanierce.

Nad miastem płoną rakiety. Znaleźliśmy się w jednem aucie — pani Czaplińska, pierwsza śpiewaczka, primadonna Rio, ładna, miła i wesoła jak zawsze, p. Skolimowski, Baliński i ja. Przepychamy się przez tłum — wyjeżdżamy wreszcie na Flamengo — przez Praię pędzimy na Copacabana, gdzie nad morzem wre podobna zabawa, którą można nazwać zabawą kostjumową, wszyscy bowiem są w kostjumach kąpielowych.

Na rogu przy hotelu „Palace" stoi starszy smutny Murzyn, ubrany zupełnie przyzwoicie: ma tylko zamiast czapki na głowie maszynkę do kawy. Obok obserwuję jakiegoś bladego pana w średnim wieku, który ze znudzoną, smutną powagą strzyka eterem przechodzącym kobietom w oczy. Ma ze sobą widać duży zapas eteru i umie to robić, każda bowiem przechodząca dama z krzykiem łapie się za oczy. Cichy fachowiec znajduje w tem zadowolenie, uśmiecha się dyskretnie i „szaleje" dalej.

Człowiek, który wyjeżdża do Ameryki południowej, przygotowuje się do tego przynajmniej parę tygodni. To samo musi robić Amerykanin wybierający się do starego świata. A my? — Jako starzy podróżnicy — dowiedziawszy się, że okręt odpływa o drugiej po południu, — spokojnie poszliśmy sobie rano do kąpieli, potem o pierwszej po śniadaniu pojechaliśmy na okręt. Jeszcze przed drugą zdążyłem wyjść na miasto na ostatnią „laranjadę". Rozkładamy rzeczy w kabinach. „Mosella" podobna jest do „Lipari", jest tylko nieco szersza, ale zato starsza w konstrukcji.

Rozglądam się po pokładzie. Każdy okręt ma swój ton, swój nastrój, swoje odrębne zwyczaje. „Mosella" jest mniej elegancka od „Lipari", ale może wygodniejsza — zwłaszcza bar okrętowy, obstawiony głębokiemi kanapami i clubsesslami, pociąga chłodem i wygodą. Towarzystwo niezbyt zajmujące. Przeważnie Francuzi i to gorszej kategorji. Francuzik z Bordeaux jest to specjalny typ komiwojażera z baczkami i jedwabistym wąsikiem. Widziałem już również Bordeaux z Francuzika, jest tu bowiem paru, którzy przy najlżejszem kołysaniu okrętu zwracają uwagę, wino i potrawy. Naogół „Mosella", jak mówią, trzyma się dobrze morza.

5 lutego.

Przypływamy do Bahii. Najstarsze miasto Brazylji, zwane Rzymem brazylijskim. Miasto bardzo mało znane i zwiedzane, niewiele bowiem okrętów tu się zatrzymuje, a połączenia kolejowego z Rio niema. Kiedy wpływamy do zatoki, robi się już wieczór. Złote słońce południowego Atlantyku czerwieni stare mury portugalskich kościołów i holenderskich jeszcze fortów. Tutaj walczył przed paruset laty polski kondotjer Arciszewski, generalissimus armady holenderskiej. Nieco danych, tyczących się tego krwawego wojownika, dostałem dzięki łaskawości księży misjonarzy w Curitybie. Arciszewski jest to typ historyczny, który czeka na swojego Nowaczyńskiego. (Życzę mu, aby zbyt długo na tamtym świecie na Nowaczyńskiego nie czekał).

Kto wie — gdyby mi przyszło zwiedzać Bahiię w dzień, w kurzu, wśród tłoku i upału, — możeby mi się to miasto wcale nie podobało. Ciemna noc wyszlachetnia kontury, nadaje tajemniczości starym budowlom i pogłębia perspektywę małych uliczek. Na przedmieściu, na wielkim placu schodzącym pochyło do morza, gra muzyka. Jest to zabawa ludowa. Pawilony ukryte wśród drzew, tłum biało ubranych ludzi o czarnych twarzach i znowu miljon lampek, które świecą się we wszystkich kątach na drzewach wśród gałęzi, na deskach domów i wśród krzaków na ziemi.

Przejeżdżamy przez główne ulice Bahii. Wszędzie domy budowane naprzestrzał. Od czasu do czasu widzi się szlachetniejsze proporcje starej architektury portugalskiej, domy pokryte mozaiką kaflową z wielkiemi oknami bez szyb. Sunąc cichym automobilem, zaglądam w te purpurowo oświetlone wnętrza, w małe ogródki, gdzie za złoconemi sztachetami siedzą biało ubrani panowie i kolorowo ubrane Murzynki. Z łódki, którą wracamy na „Mosellę", miasto wygląda coraz skromniej i poważniej. Barokowe domy, tysiące światełek upraszczają się w jedną sylwetkę miasta ozdobionego, jak piórami baldachimu, pękami palm i wielką, jarzącą się akwamaryną chłodnego księżyca.

7 lutego.

Pogoda. Łagodne zachody słońca, morze ciche, gry na pokładzie i głupie książki francuskie. W Pernambuco wsiadł chudy Anglik. Wieczorem siada do stołu w świetnie skrojonym białym smokingu. Dowcipy Anglika są na poziomie szofera Archibalda z komedji p. Pawlikowskiej. Naogół zachowuje się jak wzorowy gentleman, wczoraj jednak powiedział na głos z radosnym uśmiechem głupca, że przy naszym stole jest zbyt wielu lekarzy, i dlatego on wcale niema apetytu; nie może jeść. Lekarz okrętowy pokrył tę uwagę wyniosłem milczeniem. Profesor Francuz odpowiedział z miłym uśmiechem, że przy miłej rozmowie nawet skromna potrawa smakuje, a Hiszpan mruknął pod nosem coś w rodzaju: „Udław się draniu", albo: „Żebyś zdechł". Pozatem Anglik zabawia małą Française nudnemi pytaniami, które mają zapach rozmówek z Olendorffa: „Czy możesz mi powiedzieć, jakie owoce smakują ci najlepiej? Gruszki, śliwki czy orzechy?" Podług Olendorffa dziewczynka powinna na to odpowiedzieć: „W ogrodzie mego wuja jest bardzo dużo jabłek". Française odpowiada na to poprostu, że wcale nie lubi owoców. Anglik zamilkł i siedział cicho przez cały obiad, aż wreszcie, gdy podano po deserze owoce, porwał jabłko z talerza Française i powiedział z chichotem: „Ponieważ powiedziałaś, że nie lubisz jabłek, ja zjem twoje jabłko". Zdaje mi się, że nie jest to idjota, ale może się mylę. Zresztą rodzaj żartów angielski, za którym ja osobiście przepadam, jest dosyć ekscentryczny, i o ile Francuz jest zwykle mniej grzeczny, niżby się z początku wydawało, o tyle Anglik ma znacznie więcej delikatności, niż na to wygląda. Niestety,

NUMER „WIADOMOŚCI LITERACKICH" NA POKŁADZIE „MOSELLI"

często delikatność swoją Anglicy potrafią tak ukryć, że przez całe życie zachowują się po chamsku i nienaruszoną delikatność biorą z sobą do grobu.

Prócz małej Française jest na „Moselli" jeszcze dwoje dzieci. Mała Marie Francuzka i Boby sześciolatek pół krwi angielskiej i francuskiej. Matka jego — piękność okrętowa — obnosi paryskie stroje i zawodowy grymas zniechęcenia, który cechuje uznane piękności. Pochodzi z Paryża i czytuje książki w rodzaju: „Koko — czyli tajemnica kokainy", „Podręcznik miłości", „Pamiętnik zamordowanej prostytutki" i „Zwyrodnienia seksualne u zwierząt". Boby — jej synek nie używa jeszcze kokainy, ale morduje wszystkich i jest małem zwyrodniałem zwierzątkiem. Do ulubionych jego zajęć należy krajanie nożem skórzanych foteli, oraz wyciąganie włosów z kanapy i głowy małej Marie.

8 lutego.

Pernambuco. Znowu już wieczór zapadał, gdyśmy przypłynęli do portu. Ostatni port Ameryki południowej. Niema tu nic ciekawego — smutne płaskie miasto o wyraźnym charakterze kolonjalnym. Do Pernambuco okręty przypływają dwa razy na miesiąc, jest to więc wielka uroczystość w mieście. W barze okrętowym panuje ruch. Na dole w salonie tańczą tango brazylijskie. Paru krzykliwych Francuzów napełnia wrzaskiem cały okręt. Przed odpłynięciem rozgrywa się mały dramat. Niegrzeczny Boby, mały piekielnik, zszedł sam bez wiedzy rodziców i zniknął gdzieś na

ŚNIADANIE W HOTELU BEIRAMAR W PARANAGUA

mieście. Syrena okrętowa daje już trzeci sygnał. Ojciec Boby'ego z neseserem w ręku gotuje się do zejścia na ląd. W ostatniej chwili Boby znajduje się w łazience, gdzie schował się dla zabawy. Nie mógł otworzyć drzwi i siedział tam przez cały czas w Pernambuco. Biedny Boby mało widział z Pernambuco. (Przypomina mi to powieść Przyborowskiego „Szwedzi w Warszawie". Przyborowski nie chciał się trudzić opisywaniem historycznych zdarzeń, wymagających studjów, kazał więc swoim bohaterom zamknąć się przed Szwedami w piwnicy, i tam rozgrywa się cała powieść).

14 lutego.

Noc w Dakarze. Znów o zachodzie słońca dopłynęliśmy do lądu. Ziemia w tej podróży zjawia się jak „deux ex machina" w tragedji greckiej, wraz z pierwszemi purpurowemi strzałami zachodu. Płaskie wybrzeże Afryki środkowej. Stolica francuskiego Senegalu. Na brzegu stoi paru ludzi białych w kaskach tropikalnych, paru oficerów i tłum Murzynów. Okręt zatrzymuje się całą noc w Dakarze. Dojazd do Dakaru przypomina mi żywo wjazd do Aleksandrji — to samo żółte płaskie wybrzeże i pojedyńcze nadmorskie palmy. Tylko tam w Egipcie, za tą piaszczystą łachą, ukrywa się gwarne, ludne miasto — ciągnie się kraj żyzny i czcigodny przez swą odwieczną sztukę i cywilizację — tu zaś, za temi paroma domkami, za hotelem „Metropol" i targiem murzyńskim, leży kraj dziki, pusty, a nawet w pewnej mierze nieznany. Jesteśmy bowiem u brzegu Afryki środkowej, pod równikiem, w miasteczku, które ma smutną sławę swego zabójczego słońca. Niema podobno prawie okrętu, któryby, przypływając w dzień do Dakaru, nie miał na pokładzie wypadków porażenia słonecznego. Jest to ulubionym tematem rozmów przy stole od paru dni. Bez korkowego kaska trudno tu jest wyjść na ląd nawet w dzień pochmurny. Noce natomiast są zupełnie chłodne, tak iż widzi się pod wieczór na ulicach śmieszne sylwetki pań ubranych w boa futrzane i kask tropikalny. Już przed wyjściem z okrętu wiedzieliśmy, iż dziś właśnie jest w hotelu „Metropol" bal. Wybieramy się tam całą gromadą. W dużej kamiennej sali, poobwieszanej lampionami, tańczy kilkadziesiąt par. Koloniści francuscy — przeważnie podejrzane figury, przestępcy lub awanturnicy — mało kto bowiem siedzi tu w tym przeklętym kawałku Afryki dobrowolnie. Kobiety brzydkie, zniszczone, mężczyźni ubrani źle — na sali brudno i smutno. Wchodzimy na plac Proroka. W kącie światła małego jakiegoś baru. Tu znajdujemy naszego sąsiada z „Moselli", chudego Anglika, który sam, podpity, kiwa się na krześle. Późną nocą wracamy już na pokład. Okazuje się, że przed chwilą zeszli z okrętu sprzedawcy murzyńscy, którzy śmiesznie tanio sprzedają różne krajowe wyroby z hebanu i kości. Postanawiamy odnaleźć ich na mieście. Żandarm francuski, stojący przy porcie, wskazuje nam nazwę uliczki, na której mieszkają sprzedawcy. Po półgodzinnem błądzeniu stajemy przed małym domkiem. Światło się jeszcze pali w środku. Klaszczemy w dłonie. Wreszcie otwierają się drzwi, i szczupły Hindus, piękny jak posąg boga, staje na tle oświetlonego wnętrza. Hindus ten zajmuje się skupywaniem wyrobów murzyńskich. Wyjmuje ze skrzyń wielkie kły kości słoniowej, złote amulety, fetysze rzeźbione w hebanie, inkrustowane pudła, naszyjniki, tkaniny, dzidy i sztylety. Wszystko to mieni się i błyszczy w świetle nachylonej nad skrzyniami świecy.

O świcie odpływamy z Dakaru. Czerwony, czysty jak krew wschód słońca. Na pokładzie palą się jeszcze lampki z napisem „Fumoir" i „Réservée pour I-ère classe". Dzień rozszerza się szybko i obejmuje cały horyzont. Z palarni okrętowej czuć niemiłą woń niedopałków — zapach nikotyny — typowy zapach znużenia i bólu głowy.

16 lutego.

Okręt ogarnięty jest przez szał gier. Grają w bridża, w szachy (bardzo źle), w domino, w krążki, w kółka, w patyczki. Ulubioną grą jest stawianie na ostatnią cyfrę liczby, która oznacza przestrzeń przepłyniętą przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Co rano wywieszają tę liczbę i na wielkiej mapie świata wstawiają nową chorągiewkę, oznaczającą położenie okrętu. Jesteśmy teraz pod zwrotnikiem Raka. Atmosfera na okręcie jest idealna. Wszyscy wzajem uśmiechają się do siebie. Wytwarza to, myślę, brak wspólnych interesów i brak rywalizacji. Bardzo grzeczny Argentyńczyk, który gra z Francuzem w domino i płaci jego „apéritif", na lądzie oszukałby go przy sprzedaży kortu, a doktór Francuz, który mu tak uprzejmie i bezinteresownie udziela rad co do uregulowana żołądka, w innych warunkach zdarłby z niego za poradę. Dwu oficerów francuskich o chamskich minach, którzy — djabli ich wiedzą — zdzierali może skórę żywcem z Murzynów, prześcigają się w grzecznościach i małych uprzejmościach w stosunku do chudego Anglika, któryby ich chętnie na lądzie utopił w łyżce wody. Atmosfera okrętu nie działa jednak dodatnio na małego Boby, który wpadł dziś na szczęśliwy pomysł posmarowania leżaków gumą arabską.

Miły i bardzo efektowny żart.

17 lutego.

Grywamy w domino we czworo. Doktór Hiszpan, p. Martinez z Argentyny, p. Reseira z Peru i ja. Reseira i ja gramy rolę statystów w potężnym pojedynku doktora z Argentyńczykiem. Obaj istotnie grają świetnie. Ja jestem współpartnerem doktora. Dzisiaj, kiedy położyłem „trzy mydło", doktór powiedział lodowatym tonem, że on nigdy nie wygra, bo ma za partnera idjotę. Potem dodał, że gdyby miał za partnera człowieka, a nie kretyna, to Martinez nie wygrałby ani jednej partji. Pocieszam mnie to, że Reseira wysłuchuje też sporo od p. Martineza. Kiedy położył „dwa -sześć" Martinez powiedział parę słów, z których „bête humaine" było najłagodniejsze.

19 lutego.

Na górze codziennie radio zawiadamia nas o cenie zboża w Chicago i Liverpoole'u, o cenach kawy w Rio, poczem następuje koncert smyczkowy, albo arja operowa. Podają też ważniejsze wypadki polityczne. Kiedy jest mowa o Anglji — i padną słowa „King" albo „Quen", panowie Horton i Wilkinson wstają z trzcinowych foteli. Zrobiłem niechcący wielką przykrość p. Hortonowi. Jest on moim najbliższym sąsiadem przy stole, bawię go więc co parę dni krótką, paruminutową rozmową. Przedwczoraj miałem nieszczęsny pomysł spytania się Hortona, jakie jest nazwisko rodowe króla Anglji. Nie wiedział, czy też szesnaście lat pobytu w Pernambuco podważyło jego pamięć, — dość, że zbladł straszliwie, nic nie odpowiedział i przed kawą wstał od stołu. Przez cały dzień wczorajszy unikał nawet mego spojrzenia, dzisiaj zaś rano, gdy tylko wyszedłem na pokład, podszedł do mnie i spytał się z czarującym uśmiechem: „Pan się pytał, o ile mnie pamięć nie myli, o nazwisko rodziny panującej w Anglji? Nazywa się Windsor" — dodał z czarującym uśmiechem, poprosił mnie o ogień i odszedł krokiem człowieka, który spełnił swój ciężki obowiązek. Dowiedziałem się przypadkowo, iż kazał stewardom wyciągnąć z dna okrętu swoje kufry, które rozpakował, aby znaleźć tam „Almanach gotajski" czy jakiś kalendarz, w którym było zapisane to nieszczęsne nazwisko.

Od czasu do czasu uprzyjemniam sobie lunch dokuczaniem Hortonowi. Każdy człowiek powinien w jego mniemaniu wiedzieć cośniecoś o Anglji — natomiast Anglik ma prawo nie interesować się pozostałemi krajami świata. W odpowiedzi na parę jego głupich pytań, tyczących się Polski, spytałem, czy to prawda, że Anglja leży na wyspie, i czy Szekspir był naprawdę Amerykaninem.

Zdaje się, że Horton nie jest zadowolony ze swego miejsca przy stole.

20 lutego.

Lizbona. To jest smutne, bo oznacza to koniec podróży. Dziś wyjąłem z walizek palto i szal. Zimno już jest na pokładzie. Lizbona—kaskada małych domków, tłoczących się w ciasnych uliczkach i rozpraszających się na łagodnych nadmorskich wzgórzach. Lizbona — miasto kotów i domów, ozdobionych majoliką, żegnała nas ciepłym jeszcze, wiosennym dniem.

Okręt stał całe popołudnie, dość więc było czasu, aby przespacerować się po starych, cichych zaułkach miasta. Po długiej przechadzce zeszliśmy do przystani, gdzie już zebrała się cała nasza rodzina okrętowa w oczekiwaniu na „Lancię". Każdy z pasażerów „Moselli" miał w ręku bukiecik fiołków i różnych drobnych paczek i paczuszek. Wszyscy są ożywieni i rozradowani — nareszcie Europa. Dla wielu słowo to oznacza początek ciekawej, beztroskiej podróży, a dla nas to już powrót do zimnej, zabłoconej Warszawy. Powrót do dusznych kawiarni i restauracyj, do bieganiny po mieście, do trosk finansowych, do pustki długich mroźnych wieczorów i tej przeklętej giełdy artystycznej, tego targowiska próżności, gdzie trzeba codzień przynieść na rynek nowy żart, pomysł lub nowy mizerny triumf dziennikarski. O zachodzie słońca, żegnany ciepłym powiewem portugalskiej wiosny — stojąc na górnym pokładzie, patrzyłem niemal ze łzami w oczach na ten ostatni rozdział podróży, na tą ostatnią wąską linijkę, rozpływającą się i ginącą w czerwieni zachodu.

22 lutego.

Burza w golfie gaskońskim. Ocean żegna nas z wyraźną przykrością. Morze jest wściekłe. Z początku była mgła, i syreny okrętowe wyły bez przerwy przez całą dobę. Potem zaczął się taniec. Kiedy rano zbudziłem się po gwałtownem przechyleniu okrętu, w kabinie mojej działy się dziwne i wspaniałe rzeczy. Walizki moje przez tę jedną noc zrobiły ze sto kilometrów — przebiegały z jednego kąta kabiny w drugi z niezmordowanym zapałem. Poczciwa moja stara laska, kupiona w „Komispolu", futerał od aparatu i wszystkie przedmioty wiszące prężyły się i przybierały niewłaściwe położenie. Właściwie pozostawały one bez ruchu w stosunku do pionu — okręt zaś wykręcał się na wszystkie strony. Ja sam miałem wciąż poczucie niewłaściwości mego położenia. Nieraz już w życiu znajdowałem się w niewłaściwem położeniu, ale nigdy nie było to połączone z takim bólem głowy. Kiedy wyszedłem na pokład, poczułem się rzeźko i radośnie.

Olbrzymie góry wodne szły potężnym szeregiem na okręt, podrzucały nas bardzo wysoko w górę, gdzie na szczycie kołysaliśmy się przez chwilę, aby runąć w otchłań, w otwarte gardło morza. Z boku zabiegały nam drogę małe fale, jak zajadłe psy. Bluzgały pianą na boki okrętu i czasem sięgały mokrym jęzorem, liżąc deski dolnego pokładu.

O pół do dwunastej steward oznajmił lunch, długo natrząsając się dzwonkiem nad brakiem apetytu podróżnych.

23 lutego.

Burza przybrała rozmiary niepokojące. Od sześciu godzin stoimy na morzu

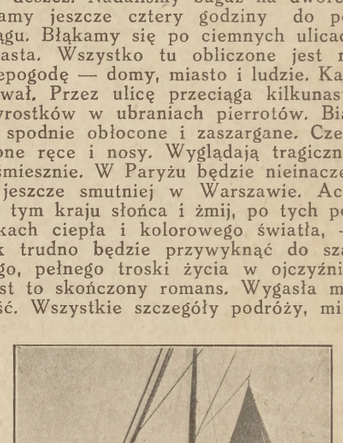

DAKAR. BRZEGI SENEGALU

niedaleko od ujścia Gironde'y, nie mogąc wpłynąć do portu Bordeaux. Niedaleko widać ławice piasku, zalewane wściekłemi falami, i maszt zatopionego okrętu. Czekamy na pilota. Czy pilot odważy się przy takiem morzu wypłynąć i czy, jeśli wypłynie, potrafi dostać się na statek? Wszyscy od paru godzin stoimy na nawietrznej stronie okrętu i wyglądamy łodzi. Wreszcie około piątej po południu okręt, podrzucany pod niebo i kołysany przez fale, napełnia się bieganiną i nerwowemi gwizdkami. Pilot płynie. Ten starszy otyły pan, który w małej łódeczce z jednym marynarzem, zakrywany co chwila przez nierówności wodne, przybliża się cal po calu do rozkołysanego, niebezpieczniejszego od fal okrętu, ten mały tłusty Francuz, jest prawdziwym bohaterem. Gdy wreszcie chwyta rzuconą mu drabinkę sznurową i wchodzi na pokład, wita go burza oklasków.

Bordeaux.

24 lutego.

Smutno, zimno i brzydko. Pada drobny deszcz. Nadaliśmy bagaż na dworcu. Mamy jeszcze cztery godziny do pociągu. Błąkamy się po ciemnych ulicach miasta. Wszystko tu obliczone jest na niepogodę — domy, miasto i ludzie. Karnawał. Przez ulicę przeciąga kilkunastu wyrostków w ubraniach pierrotów. Białe spodnie obłocone i zaszargane. Czerwone ręce i nosy. Wyglądają tragicznie i śmiesznie. W Paryżu będzie nieinaczej, a jeszcze smutniej w Warszawie. Ach, po tym kraju słońca i żmij, po tych potokach ciepła i kolorowego światła, — jak trudno będzie przywyknąć do szarego, pełnego troski życia w ojczyźnie. Jest to skończony romans. Wygasła miłość. Wszystkie szczegóły podróży, miłe

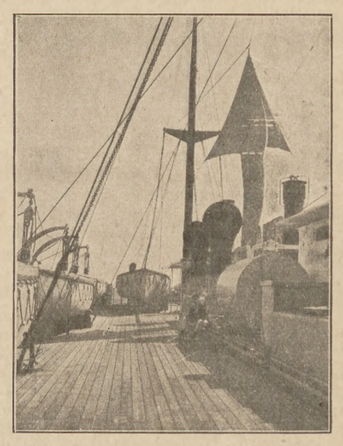

OSTATNI DZIEŃ NA OKRĘCIE

i nawet przykre, urastają już teraz do tragicznej wielkości. Dręczy mnie nierozumne uczucie czegoś nieosiągniętego w pełni i niewyzyskanego. Trzeba się z tego otrząsnąć. Wiem dobrze, że nie mógłbym mieszkać stale po tej kolorowej wspaniałej stronie świata. Jest to jak gdyby wzorzysty dywan, ten cały piękny, daleki kontynent — ziemia czy tam, czy na Ceylonie, czy w Indjach, przybrana jest w bogate wzory, desenie i ornamenty. Ale po drugiej stronie tego kobierca, po drugiej stronie świata, tam gdzie krzyżują się nici i ścięgna — napewno smutniej jest żyć, lecz, kto wie — może łatwiej rozumieć.

Co widziałem w Paryżu?

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich"

Paryż, w kwietniu 1925.

Jedną z największych sensacyj na rynku plotek literackich Paryża — jest wyprzedaż bibljoteki Andrzeja Gide'a. Obiegała ta pogłoska narazie tylko pewne kółka, teraz potwierdzają ją wiadomości dziennikarskie. Oczywiście chodzi tu nie o całą bibljotekę — tylko o jej pewną część. Mianowicie Gide przeznaczył do sprzedaży 350 tomów książek, otrzymanych w swoim czasie od autorów, z którymi się obecnie poróżnił, a raczej, którzy zerwali z nim stosunki, po wydaniu jego ostatniej książki „Corydon'a". Pomiędzy temi tomami znajdziemy może dzieła Francis Jammes, Henri de Regnier i t. d. i t. d., zapewne z czułemi i serdecznemi dedykacjami. Jest to poprostu złośliwy figiel ze strony „immoralisty" Gide'a, i cała młoda literatura, a i stara także, która takie sensacje lubi, czeka z niecierpliwością na chwilę, kiedy będzie się mogła rzucić na wystawione książki, aby z lubością odczytać serdeczne dedykacje z przed kilku czy kilkunastu lat. Nastąpi to dopiero po 20 kwietnia.

„Corydon" był skandalem literackim zeszłego sezonu. Gide ogłosił tę książkę, napisaną i nawet wydrukowaną (w 12 egzemplarzach) przed kilkunastu laty, występując w niej z obroną homoseksualizmu. Oczywiście książce można wiele zarzucić, tak pod względem formalnym,

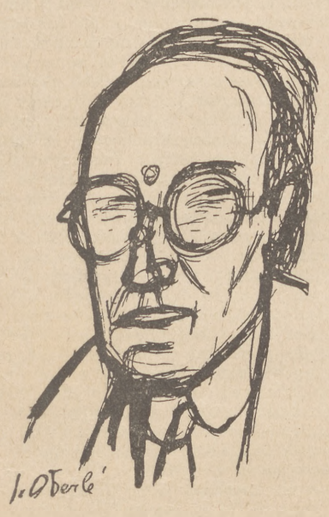

ANDRZEJ GIDE

jak zwłaszcza ideowym. Gide bowiem nie ogranicza się do skonstatowania istnienia w naturze pociągu pomiędzy istotami jednej płci, nie zadowala się sublimacją tego pociągu w tak zwanej „czystej przyjaźni", ale pragnie wykazać wielką moralną rolę, jaką może odegrać taki pociąg w życiu k a ż d e g o młodzieńca. Oczywiście nie sposób zgodzić się z nim. Tem nie mniej jednak postawa prasy francuskiej i literatów wobec książki Gide'a jest zastanawiająca. Przyjęto ją grobowem milczeniem, komerażami wewnętrznemi i wreszcie zerwaniem stosunków osobistych z Gide'm, bez wykazania mu czarno na białem w czem się myli. (O słabej książeczce „Anti-Corydon" nie mówię.)

Jeden tylko zacny entuzjasta Bazalgette, którego przekłady z Whitmana Gide zaczepił parokrotnie w swej książce, napisał kilka bardzo racjonalnych artykułów w obronie swego punktu widzenia na twórczość Walta Whitmana.

Trzeba dodać, że Gide rzucił swoją książkę w gniazdo os. Wydał ją mianowicie w chwili, kiedy zarówno jego osoba, jak cała grupa Nouvelle Revue Française, stała się przedmiotem gwałtownych napaści. Szczególniej ostre były wystąpienia Bérauda (autora „Cierpień tłuściocha") oraz pisarzy katolickich Maritaina i Massisa, którzy w Gide'zie widzą wcielenie ducha protestanckiego, szczególniej pomstują przeciw jego amoralności, zresztą kompletnie pozornej, a raczej stanowiącej jedną tylko stronę tego skomplikowanego zjawiska.

Wystąpienia anti-Gide'owskie oczywiście dadzą się jasno zrozumieć na tle pewnego bałwochwalstwa, jakiem ten pisarz otoczony jest przez swoich najbliższych adoratorów. Jakkolwiekbądź jest, sprawa osądu Gide'a należy jeszcze do przyszłości, tem bardziej, że sam autor, zaczynając w „Nouvelle Revue Française" druk nowego swego utworu p. t. „Fałszerze pieniędzy", stwierdził, iż jest to dopiero pierwsza jego powieść. To znaczy, iż cała działalność dotychczasowa Gide'a jest tylko robieniem szkiców artystycznych i rzucaniem myśli — czy „pierwsza" powieść Gide'a będzie naprawdę lepsza od „Ciasnych wrót" i od „Immoralisty" — zobaczymy już wkrótce.

Tymczasem znudzony Paryżem, plotkami, rozczarowany do swych przyjaciół, a co gorsza i do swych wrogów, autor „Watykańskich podziemi" w maju r. b. rozpoczyna ze swym siostrzeńcem roczną wyprawę do Afryki, zaopatrzony z królewskim przepychem w aparaty fotograficzne, przybory kinowe i t. d. i t. d.

Drugą sensacją plotkarską jest wydanie anonimowej (podpisanej „Les trois") książki p. t. „Inicjacja Reginy Dermine"; jest to historja wprowadzenia w świat literacki Paryża młodej żydówki algierskiej przez trzech dobrze się znających na ludziach osobników. Książka ta w znacznej mierze jest także wymierzona przeciwko Andrzejowi Gide; zresztą wszyscy pisarze i literaci oznaczeni tu są inicjałami; jedna tylko sympatyczna i poczciwa panna Adrianne Monnier, właścicielka sklepiku z książkami przy ulicy Odéon, która padła

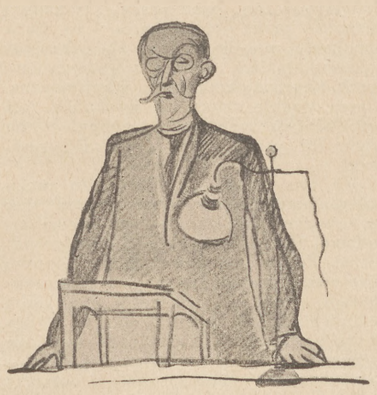

Prof MARJAN ZDZIECHOWSKI
podczas wykładu w Sorbonie
Szkicował specjalnie dla „Wiadomości Literackich" Zygmunt Waliszewski

tutaj ofiarą swego ślepego przywiązania do NRF — wymieniona jest en toute lettres. Będzie zapewne wdzięczna za reklamę! Incognito zresztą trójki prawie już wykryto, — są to prawdopodobnie: Albert Lantoine, Robert Randau i Piotr Devoluy.

Ciekawą kwestją zajmuje się teraz związek powieściopisarzy francuskich. Mianowicie chodzi tu o zabezpieczenie praw autorskich na książkach wypożyczanych. Ponieważ liczba czytelni we Francji od czasów wojny powiększyła się pięciokrotnie, ilość książek wypożyczanych może nader ujemnie wpłynąć na wielkość nakładu — co już ma miejsce w Angji, gdzie tak zwane „Okrężne bibljoteki" prawie zupełnie zabiły olbrzymie wielotysiączne dawniejsze nakłady. Jeden egzemplarz z wypożyczalni odczytywany jest przez tysiące osób — autor zaś nie ma stąd żadnej korzyści. W jaki sposób wybrnąć z tego zagadnienia — to sprawa niełatwa. Sądzę, że będzie przedmiotem długich narad i wątpię, czy da jakie konkretne rezultaty.

Zdarzeniem niemniejszej wagi dla wzmocnienia kontaktu myśli polskiej z myślą europejską był przyjazd profesora Marjana Zdziechowskiego, który miał dwa wykłady w Sorbonie i jeden w Institut des Etudes Slaves na temat „Myśl religijna rosyjska i Polska". Szereg niezmiernie sympatycznie nakreślonych i mądrze pogłębionych sylwetek rosyjskich myślicieli (Dostojewskij, Iwan Aksakow, Chomiakow, Rozanow, Bierdiajew, Boris Cziczerin, ks. Eugenjusz Trubeckoj) i parę śmiałych uogólnień, świadczyły o niezmiernem zżyciu się prof. Zdziechowskiego z myślą religijną rosyjską. Świetna paralela między stanem wewnętrznym Mickiewicza przy końcu Improwizacji Konrada a stałym stanem duchowym Dostojewskiego, przeciwstawienie idei Irydjona i Wielkiego Inkwizytora — oto zdaje się wszystko. Nie padło ani razu nazwisko Towiańskiego, Cieszkowskiego, Hoene-Wrońskiego, Brzozowskiego. Przykry również dla nas młodych jest pesymizm prof. Zdziechowskiego, który, ukryty wprawdzie w przesłankach, z których profesor Zdziechowski nie wyciąga otwartych wniosków — przebijał jednak wszędzie.

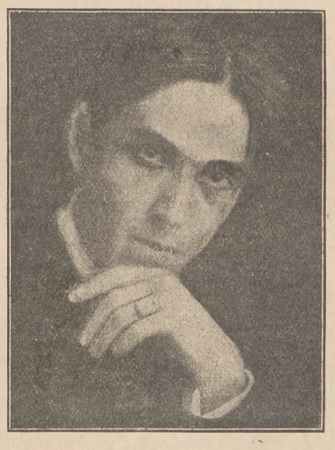

PIOTR PITOJEW

Oczywiście to wszystko „pro domo sua". Zresztą sądzę, że te wykłady, są cząstką jakiejś większej całości, mogącej dać nam całokształt i przeciwstawienie tych dwóch światów, które tak mądrze i konkretnie określił Conrad w swych pamiętnikach — Rosji i Polski. Dla Francuzów i licznie zgromadzonych Rosjan wykłady te były prawdziwą rewelacją; rewelacją niezmiernie głębokiego nurtu życia religijnego polskiego, którego przedstawicielem jest nadwyraz ciekawa umysłowość prof. Zdziechowskiego; wreszcie dosadnym przykładem, że myśl polska nie ogranicza się do ciasnego kółka czysto polskich zagadnień i ogarnia nader szerokie horyzonty. Sam słyszałem, jak słynny prof. Mason, zwracając się do młodego uczonego polskiego p. Wacława Lednickiego, powiedział: „Jakże się cieszę, że w Polsce prócz pana inni także tak głęboko się interesują kwestjami rosyjskiemi".

Wykłady prof. Zdziechowskiego cieszyły się ogromnem powodzeniem. Oprócz kolonji polskiej z p. Władysławem Mickiewiczem na czele, widziało się dyrektora Instytutu „Des Etudes Slaves" Meillet'a, prof. Masona, prof. Grappin'a, abbé de la Bertonnière, Marcinkowskiego, Bierdiajewa, ks. Grzegorza Trubeckiego (autora odezwy Wielkiego księcia Mikołaja) rodzinę ś. p. ks. Eugenjusza Trubeckiego i wiele innych równie poważnych osób.

Interesuje mnie, oczywiście, praca tak zwanych artystycznych teatrów w Paryżu. Są to małe teatrzyki, w których wysiłek jest skierowany głównie na stronę literacką i reżyserską przedstawienia teatralnego. Teatrów takich w Paryżu najważniejszych jest trzy: „Atelier", „Studio des Champs Elysées", teatr Pitojewa. Pomijam tu „Comédie des Champs Elysées", jako odrośl dawnego Vieux Colombier, może nieco inny teatr niż wszystkie paryskie, jednak w inności swej zastygły.

Reżyserskie wysiłki Dullin'a w „Atelier", Baty w „Studio" i Pitojewa zasługują na baczną uwagę. Reżyserzy to pierwszorzędni. Wszystkie jednak usiłowania ich rozbijają się o brak materjału aktorskiego i literackiego. Dullin i Pitojew u-

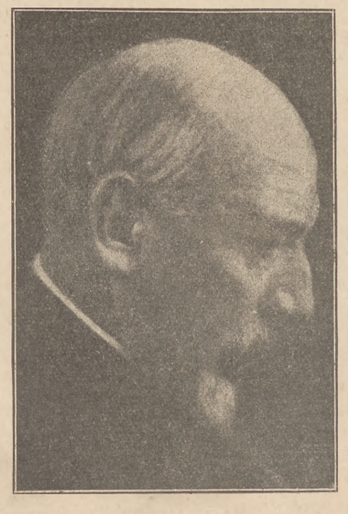

LUDWIK PIRANDELLO

ciekają się do niezawodnego Pirandella, który jest już aż nadto w modzie—Baty bierze byle co, aby tylko wykazać swą umiejętność reżyserską i powywracać trochę koziołków. Ostatnia sztuka w Studio — „L'étrange épouse de dr. Stierbecke" Abert-Jean'a, to quasi poetycka szaniawszczyzna. Coprawda wolałbym nawet „Papierowego kochanka", czy „Ptaka", niż przypominającą E. T. A. Hoffmana, (odartego z poezji — cóż więc pozostaje?) historję fałszywych sióstr sjamskich, z których jedną poślubia dr. Stierbecke, by potem przytłamiwszy straszliwem środowiskiem zmusić z powrotem do przeniesienia się do ruchomego wozu z fałszywemi cudami.

Pitojew gra „Henryka IV" Pirandella. Nie mogę zrozumieć jak Francuzi mogą słuchać tych histerycznych tyrad wypowiadanych fatalną francuszczyzną. Jako reżyserowi jednak trzeba Pitojewowi przyznać mnóstwo pomysłowości i inteligencji. Podział olbrzymiego monologu w II akcie na oddzielne kawałki dzięki kilkakrotnej zmianie płaszcza — to majsterszytk prostoty i obrazowości. Jednakże jego praca, jak i praca Baty, skierowane są na stronę czysto malarską widowiska. Wysiłek ich doprowadza do stwarzania prześlicznych obrazów. Jest w tem naturalna reakcja przeciw zaniedbywaniu tej strony widowiska w dotychczasowej pracy teatralnej francuskiej — ale i wielkie niebezpieczeństwo. Słowo, głos, (nawet gest z chwilą gdy wychodzi poza ramy kilku obmyślanych obrazów) puszczone samopas stanowią rażący dysonans, zwłaszcza wobec niezmiernej słabizny materjału aktorskiego, którą do pewnego stopnia może uratować tylko tresura. Niestety dyscyplina Pitojewa nie sięga tak daleko i z przyjemnością myślałem o naszej „Dziwnej Ulicy" tym fenomenalnym majsterszytku dyscypliny, który, niestety, zawisł w próżni bezcelowości. Mimo braków straszliwych w grze Pitojewa i jego otoczenia, trzeba mu przyznać niezmierne zasługi, jako stworzycielowi jedynego w Paryżu teatru o repertuarze literackim. Obecnie przygotowuje on „Św. Joannę" Shaw'a, co ma być najważniejszym ewenementem sezonu bieżącego.

Ciekawą próbką zdegenerowania jest wystawiony w teatrze Sarah Bernardt „dramat heroiczny" Maurycego Rostanda p. t. „Archanioł". Zdegenerowanie smaku, romantycznego ojcowskiego wiersza, wreszcie wszelkich naprawdę ludzkich uczuć, które tu przez swój patos wystawione są raczej na pośmiewisko. Miłość, ojczyzna, czystość, poświęcenie — do wszystkiego tego można nabrać wstrętu po sztuce Rostanda. Zawsze w takich razach myślę sobie o fenomenalnej historji ze sztandarem narodowym w „Stalky et C-o" Kiplinga. Szkoda pięknego talentu młodziutkiego i fenomenalnego aktora p. Paul Bernard na rolę owego lotnika — archanioła. Natomiast panna Servière jako Archanioł Michał jest zupełnie na miejscu w takiej sztuce!

Jarosław Iwaszkiewicz.

Tęsknota do idei w twórczości

W ostatnich czasach zjawia się coraz silniej tęsknota, nie zawsze określona i jasna, czasem prawie nieuchwytna, ale sięgająca coraz bardziej w głąb, — tęsknota do idei w twórczości.

Artykuł Józefa Wittlina w nr. 38 „Skamandra" p. t. „Inwentarz kultury narodowej", nawiązując do książki Stefana Żeromskiego „Snobizm i postęp", porusza znowu to zagadnienie. Wittlin bardzo trafnie stwierdza, że „jądrem soków pełnem, płonącem ogniskiem każdego ruchu umysłowego, artystycznego jest pewna żywa idea, której siłą i natężeniem mierzy się jego wartość. Musi gdzieś istnieć zaognione centrum, zdolne do zarażenia głów i serc pokolenia żarliwością pracy". To jest rzeczywisty punkt wyjścia rozważań dla ujęcia sprawy twórczości wogóle, a specjalnie w chwili obecnej. Za dwie takie wielkie idee w dziejach świata Wittlin uważa chrześcijaństwo i wieczysty bunt pokrzywdzonych przeciw krzywdzicielom, jednakże, nie mówiąc tego wyraźnie, daje do zrozumienia, że obie te idee są już przeżytkami.

Taką wielką ideą w zakresie życia polskiego była idea walki o niepodległość, nie mogąca dziś się ostać w swej dawnej postaci z powodu zmiany warunków politycznych, gdyż trudno, jak mówi Wittlin, „w dalszym ciągu operować rekwizytami z zakresu tęsknoty za swobodą".

W chwili obecnej wszyscy piszący o tej sprawie stwierdzają jakąś wewnętrzną szarpaninę, brak tej nowej wielkiej idei, któraby przesiąknęła społeczeństwo polskie, a zwłaszcza pisarzy polskich, i była owem ogniskiem ruchu umysłowego, o którem mówi Wittlin. Żeromski w „Snobizmie i postępie" z goryczą stwierdza: „Zdawałoby się, że po wydźwignięciu się Polski z pod cielska Rosji, po odparciu najazdu bolszewickiego — odetchniemy i w narodowem piśmiennictwie od rosyjskiego wpływu. Tymczasem tak nie jest. Najmłodsza poezja polska nie może się oderwać od piersi wielkiej matuszki"; jako przykład cytuje „Pieśń o głodzie" Brunona Jasieńskiego. — To samo mówi Wittlin, podkreślając przedewszystkiem, że „jakaś nerwowa apatja opanowała nas w dziedzinie twórczości literackiej", i zaznacza następnie, że z dwu wielkich zdarzeń dziejowych po wojnie światowej — wskrzeszenia państwa polskiego i rosyjskiej rewolucji — to drugie więcej zainteresowało artystów, ponieważ „idea wolnej Polski jest stara, idea zaś rewolucji w swej realizacji jest czemś nowem, pierwiastkowem, nieznanem".

O ile stwierdzenie faktu wpływów rewolucyjno - rosyjskich na naszą twórczość współczesną nie może być pojęte zbyt szeroko i uogólnione nadmiernie, bowiem wpływ ten raczej rozlewa się po wierzchu, nie sięgając zbyt daleko w głąb, o tyle słuszne jest twierdzenie o braku ideologji we współczesnej twórczości polskiej.

Słowa Artura Górskiego nie straciły jeszcze dziś na znaczeniu, choć były wypowiedziane przed laty: „A teraz, kiedy... rozejrzymy się naokół po tłumie bez ludzi, po twarzach bez gwiazdy, po domach rodzinnych bez świętości, po całym obszarze polskiej mowy — pojmiemy, w czem jest troska. Czasów nikczemność zrobiła swoje. Tak długo panowała ona niewzruszona nad biegiem wydarzeń, że poczęto w nią wierzyć jako w jedno z kardynalnych praw żywota". W innych warunkach i z inną myślą pisał to Górski, ale teraz to samo potwierdza Wittlin, mówiąc: „Człowiek po wojnie światowej mało się zmienił na korzyść — schudł, sczerniał, ale dziwnie niewyszlachetniał, ...życie odrodzonego narodu obniżyło się w przerażającym stopniu, chamstwo zatriumfowało nad szlachetnością, podłość odniosła tanie zwycięstwo nad wszystkiem, co piękne".

W tem właśnie tkwi „troska", która nurtuje duszę Żeromskiego, pisarza wielkiego przez to właśnie, co z taką niechęcią wytyka mu Pieńkowski, przez „upór urodzonego chrześcijanina, demokraty i socjalisty". Troska ta wije się przez karty „Snobizmu i postępu", książki, która pomimo dygresyj od istoty „troski" zbliża się do niej dzięki konkretyzacji zagadnień, a błyska wielkim płomieniem w „Przedwiośniu". Pełne bólu słowa wyrzucane przez Cezarego Barykę: „Ja teraz stawiam pytania! I pytam, na co wy czekacie. Dał wam los w ręce ojczyznę wolną, państwo wolne, królestwo Jagiellonów. Dał wam ludy obce, ubogie, proste, ażebyście je na sercu tej Mocarki, tej Pani, tej Matki ogrzali i do serca przytulili... Boicie się wielkiego czynu, wielkiej reformy agrarnej, nieznanej przemiany... Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei! Niech to będzie reforma rolna, stworzenie nowych przemysłów, jakikolwiek czyn wielki, którym ludzie mogliby oddychać, jak powietrzem" — to poszukiwanie wielkiej idei, mającej przeciwstawić się wiatrowi od wschodu, przed którym przestrzega głos wieszczy, bo „ta droga prowadziłaby w krwawą próżnię".

I teraz wobec takiego stanu rzeczy coraz jaskrawiej, coraz boleśniej zjawia się pytanie, co będzie dalej, zali tak długo życie nasze, a zatem i twórczość literacka, ma iść w mroku gwiazd jedynie, bez żywych promieni słonecznych. Bo jeżeli rozejrzymy się naokoło, to zobaczymy dużo gwiazd - talentów poszczególnych, lecz nie zapłonie nam w oczach ognisko ruchu umysłowego — żywa idea. Potrzeba takiej idei wynika nie z chęci przeciwstawienia tej ideowej przyszłej literatury literaturze mającej charakter wyłącznie artystyczny, ale wynika z konieczności utworzenia z pierwiastków ideowych podłoża dla artyzmu twórczości literackiej.

Walka, jaką toczył na łamach „Wiadomości Literackich" Miller w sprawie „Pana Tadeusza", pomimo całego błędnego podkreślenia konieczności przewartościowania utworów dawniejszych z punktu widzenia ideowego, kiedy tu właśnie wartości artystyczne na pierwszy plan występują, miała tę dobrą stronę, że pokazała pewną pustkę w twórczości współczesnej, pewną konieczność ideowości jako podłoża dla artyzmu współczesnej literatury.

Żeromski w „Snobizmie i postępie" jako wytyczne dla owej nowej twórczości polskiej podaje takie fakty, jak przyłączenie ziemi chełmińskiej do Polski, jak dzieło najżywsze z żywych — Śląsk, jak korzystanie w silniejszej mierze z tematów, zawartych w „chłopach polskich z ich życiem i gwarą", w „ogromie legend, podań, klechd, historyj, bajek, gadek, opowieści przywiązanych do ruin, wzgórz, uroczysk, miejsc szczególnych, mających w każdej okolicy swe dzieje własne", w całym świecie „podań z czasów nowszych, z wojny ostatniej", w „baśniach czysto polskich na tle religijnem, rolniczem i pasterskiem, baśniach leśnych o zbójach, a w ziemi krakowskiej, śląskiej i kieleckiej dawnych ze średniowiecza górniczych". — Mówi o tem i Wittlin, acz nie tak wyraźnie podając źródła twórczości polskiej, a tylko stwierdzając, że musi powstać nowa „literatura polska, wolna, niczem nieograniczona, literatura od morza do morza", że „nadchodzi nowy człowiek", który i „w Polsce ujrzał już światło, a zbuduje swój własny dom, nową kulturę. Nie wiemy, czy to będzie kultura proletarjacka, międzynarodowa czy inna. Wiemy tylko, że będzie oparta na wielkiej miłości człowieka".

Tutaj dochodzimy do istoty zagadnienia, do ujęcia sprawy pod kątem widzenia przyszłości, w sposób nauczający, jak to czyni Żeromski, wskazując tematy zainteresowań poety, lub w sposób przepowiadający, jak Wittlin, gdy mówi o oparciu przyszłej kultury o wielką miłość człowieka.

Zagadnienie jednak tej przyszłej kultury i przyszłej literatury pozostaje otwarte. Wittlin, pomimo całego uwielbienia dla „Snobizmu i postępu", jakby usprawiedliwia brak posłuchu dla wezwania Żeromskiego sięgnięcia do starych baśni i legend: „Chcąc tworzyć w duchu dawnej Polski, trzeba sięgnąć wstecz, zakochać się w przeszłości, przypomnieć dawne prawa, zwyczaje, kształty, gdy natomiast na rewolucyjnym szlaku rodzą się nowe formy bytu". I trudno pod tym względem nie przyznać Wittlinowi racji — nie wydaje się rzeczą możliwą, aby nowa literatura poszła w kierunku „legend" i tam szukała nowych dróg. Niewątpliwie znalazłaby tam wiele materjału dla swego artyzmu, ale zdaje się, że jednak zbyt dalekie jest dzisiejsze społeczeństwo od tego kierunku: raczej pociągnie ją rzeczywistość, rzeczywistość jeszcze za mało wyzyskana, za mało ujęta w formę piękna. Nie tyle baśnie górnicze z ziemi śląskiej, ile Śląsk dzisiejszy, Śląsk pełen trwającej walki utajonej, pociągnie pisarzy. Przykładem tego może być sam Żeromski, który obok baśni o tym właśnie żywym Śląsku jako temacie wspomina, Żeromski, w którym tkwią dwa kierunki: jeden baśnią „Wiatru od morza" sięgający do dawnych legend, drugi w „Przedwiośniu" dający obraz współczesności, pulsujących zagadnień społecznych. I tutaj właśnie w „Przedwiośniu", niesłusznie spotykającem się z zastrzeżeniem, jakoby to dzieło mogło zostać wyzyskane na rzecz komunizmu, tkwi prawdziwe przedwiośnie nowej literatury polskiej. Tu właśnie widnieje to, co Wittlin nazywa kulturą opartą na wielkiej miłości człowieka, tu Żeromski znajduje podłoże ideowe dla artyzmu. We wzmiankowanych już słowach Pieńkowskiego o Żeromskim jako o „urodzonym chrześcijaninie, demokracie i socjaliście" tkwi wielka prawda, która, choć zwalczana przez Pieńkowskiego, stanie się prawdopodobnie podstawą nowej twórczości. Chrześcijanizm, demokratyzm i socjalizm — to są prawdy trwalsze i silniejsze od innych — z nich wyjdzie twórczość oparta na wielkiej miłości człowieka. I dlatego niesłusznie Wittlin mówi o wierze chrześcijańskiej i buncie pokrzywdzonych przeciw krzywdzicielom jakby o czemś minionem. Te dwie idee, napozór często sprzeczne, naprawdę łączące się ze sobą we wspólnej miłości człowieka, mogą i zapewne staną się podstawą nowej twórczości. Oparte o rzeczywistość polską, zaglądające do zakamarków duszy ludzkiej, oparte o życie narodu od górnika śląskiego do chłopa poleskiego, mogą być właśnie tem, do czego tęskni współczesne pokolenie, mogą być ideą-podłożem, na której pod tchnieniem talentów wyrosną bujne kwiaty dzieł poetyckich.

Eugenjusz Zdrojewski.

Południe

Południe. Nr. 2 Warszawa 1925.

Południe posiada dwie zalety, które rzadko kiedy dają się ze sobą pogodzić. Łączy ono, mianowicie, wyraźną orjentację artystyczną z bezstronnością w ocenie zjawisk, reprezentujących przeciwne nawet kierunki.

Pozytywnie opiera się owa orjentacja na dzisiejszym klasycyzmie, negatywnie zaś — na krytyce impresjonizmu i secesji. Aby to stanowisko zrozumieć i należycie ocenić, należy uświadomić sobie, że sztuka polska, przy wszystkich swych zaletach, posiada z rozwojowego punktu widzenia stałą wadę, polegającą na opóźnianiu się u nas kierunków artystycznych, które gdzieindziej zdobyły sobie już oddawna prawo obywatelstwa. Przeżywało się u nas pełnię zapałów romantycznych wtenczas, kiedy we Francji realizm nawet ulegał przekształceniu, wkraczając w fazę impresjonizmu. Impresjonizm z kolei kształtował się u nas wtedy właśnie, kiedy się gdzieindziej kończył i kiedy zarysowywała się już wyraźna przeciwniemu reakcja.

W gruncie rzeczy objaw ten obserwujemy i teraz również. Podstawą dzisiejszych kierunków artystycznych jest analiza formy, która nastąpiła, jako naturalny ekwiwalent po impresjonistycznej analizie barwy. To jest właśnie punktu wyjścia nowoczesnego klasycyzmu. Tymczasem większość młodzieży naszej artystycznej trwa jeszcze wiernie przy koncepcji impresjonistycznej, wyniesionej z akadencji pod wpływem profesorów ze starszego pokolenia. Ponieważ zaś kierunki artystyczne nie są rzeczą przypadkową, ale wyrazem plastycznym współczesnej sobie duchowości, przeto tego rodzaju zapóźnione powtarzanie przebrzmiałych zasad sprawia, że sztuka, rozpatrywana z punktu widzenia formy, a nie — literackiej treści, nie jest u nas nigdy organiczną funkcją życia i że rzadko kiedy posiada szczery entuzjazm odkrywczy.

W zasadach, na których opiera się **Południe**, jedno tylko wydaje mi się niedostatecznie wyjaśnione, a mianowicie— ujmowanie impresjonizmu i secesji, jako jednej całości. W gruncie rzeczy była secesja początkiem właśnie reakcji anty-impresjonistycznej, a jej teorja stylu, teorja linji i plamy, przeciwstawiała się wyraźnie dawniejszym przypadkowościom formy. Z tego powodu stanowiła secesja etap przejściowy pomiędzy impresjonizmem, a dzisiejszą sztuką wyrazistej formy, i na tem polega jej rola rozwojowa. Walcząc tedy zupełnie słusznie przeciwko anachronizmom w naszych koncepcjach artystycznych, należałoby jednak wyraźniej zaznaczyć różnicę pomiędzy temi dwoma kolejnemi stadjami sztuki w końcu XIX-go i początku XX-go stulecia.

Śród obfitej treści nowego zeszytu **Południa** wyróżnia się świetną metodą opracowania rozprawa Strzygowskiego p.t. „Płyta grobowca Hegezo", oraz dokładnością naukową — dokończenie pracy Siennickiego o kościele Św. Trójcy w Lublinie. Podstawy ideowe pisma występują najwyraźniej w bogatej, treściwie i jasno ujętej kronice, oraz w pięknie odbitych ilustracjach, w których z wyjątkiem jednego dzieła Matisse'a reprezentowany jest wyłącznie nowoczesny klasycyzm, począwszy od archaizującej grupy, gromadzącej się głównie dokoła Ślendzińskiego, poprzez realizm Deraina i Braque'a i aż do kubizmu bezprzedmiotowego.

Strona graficzna opracowana z wyjątkową starannością.

Wacław Husarski.

„MUZYKA"

Ukazał się numer 3 (5) miesięcznika redagowanego przez M. Glińskiego. Obszerny ten zeszyt, wydany w pięknej formie zewnętrznej i ozdobiony licznemi ilustracjami, zawiera na wstępie niedrukowany wiersz **R. M. Rilkego** p. t. „Muzyka", oraz artykuły następujących wybitnych muzyków współczesnych: **M. Ravela:** O muzyce szopenowskiej, **F. Weingartena:** O sztuce kapelmistrzowskiej, **St. Niewiadomskiego:** Stanisław Moniuszko, **L. Różyckiego:** O operze Casanova, **A. Simona:** Filozofja muzyki Hoene-Wrońskiego, **K. Szymanowskiego:** Maurice Ravel, **A. Wieniawskiego:** Ś. p. Jan Reszke. Treść numeru uzupełnia niezwykle bogaty dział bieżący, ankieta w sprawie Filharmonji Warszawskiej i nowo wprowadzone „Rzeczy wesołe". W dodatku nutowym: pieśń A. Szeluty. Do numeru dołączone są jak zwykle kupony ulgowe (8) do Opery, Filmarmonji i in. sal koncert.

Numer zawiera 60 str. (20 ilustr.) i kosztuje zł. **1.50.**

Adres Redacji i Administracji:
Warszawa, Kapucyńska 13.

Fotograf KAROL PĘCHERSKI
(Nowy Świat 57, tel. 132-91)
Atelier otwarte od 9—18,
w niedziele i święta na zamówienie

BIAŁORUŚ
POEZJE
LEONARDA PODHORSKIEGO-OKOŁOWA
Cena zł. 1.20

U klasyków

Platona Fedon. Przełożył, wstępem, objaśnieniami i ilustracjami opatrzył **Władysław Witwicki.** Lwów, Książnica-Atlas, 1925; str. 4nl. i 180 i 2nl.

Po „Fajdrosie", „Eutyfronie", „Obronie Sokratesa", „Kritonie", obu „Hippiasach", „Jonie", „Gorgiasie", „Protagorasie" i „Uczcie" dał nam Witwicki siódmy tom swych przekładów Platona, zawierający „Fajdona". Niech mi Szanowny Tłumacz wybaczy, że już pierwsze zdanie mojej recenzji zawiera pewną, choć drobną, krytykę. Pisząc „Fajdon", uważam, że niewłaściwe jest używanie zlatynizowanej formy „Fedon", niczem w języku polskim nieusprawiedliwionej. Słusznie przecież zostawił Witwicki Fajdrosowi greckie brzmienie jego imienia. Na takie samo poszanowanie zasługuje i Fajdon.

Dialog ten roztrząsa najpodniosłejszy z problematów — nieśmiertelność duszy, a kończy się, jako potężnym finałem, opisem śmierci Sokratesa, która była tej nieśmiertelności dowodem nierównie silniejszym, niż wszystkie argumenty, przytoczone przez wielkiego filozofa. Wspaniałe to opowiadanie utrzymane jest w zwykłym u Platona pogodnym nastroju, płynącym tu z pogody ducha umierającego Sokratesa; ale wewnątrz przenika je tem bardziej przejmujący patos. A że Platon, poza głębią swej filozofji, był największym artystą wśród prozaików greckich, przeto umiał wywoływać w duszy czytelnika pożądany efekt odpowiednim a właściwym mu stylem.

Dwoisty wdzięk stylu platońskiego płynie z trzech źródeł: z jego prostoty, pogody i bezpretensjonalnej wytworności, zdradzającej arystokratę, jakim był Platon nie tylko z przekonań politycznych, lecz także i przedewszystkiem z ducha.

Ponieważ wartość przekładu zależy przedewszystkiem od stopnia wierności oddania stylu, w szerszem i węższem znaczeniu tego wyrazu, t. j. oddania charakteru oryginału oraz rodzaju jego języka,— przypatrzmy się, jak się ta sprawa przedstawia u Witwickiego.

Z trzech wymienionych znamion stylu Platona dwie pierwsze, t. j. prostotę i pogodę, oddaje Witwicki znakomicie. Tu jest też źródło piękności i czaru jego przekładów, które pod tym względem zasługują na najwyższy podziw. A trzecia cecha, wytworność?

Na początku „Obrony" powiada Platon przez usta Sokratesa, że będzie się posługiwał prostym językiem straganiarzy. Tymczasem używa wykwintnego, choć niewymyślnego w swej prostocie, sposobu mówienia wyższych sfer towarzystwa ateńskiego. Podobnie Apulejusz, zapowiedziawszy na początku „Złotego osła", że będzie pisał gminnym językiem rynkowym („sermo forensis"), pisze językiem wytwornym i wyszukanym. Były więc owe powiedzenia u pisarzy starożytnych może rodzajem kokieterji. Otóż Witwicki wziął ją zbyt na serjo. To też zarzucono zwłaszcza pierwszym jego przekładom pewne obniżenie tonu, żeby nie powiedzieć strywjalizowanie. Znajdowały się w nich bowiem wyrazy wulgarne, nie licujące z platońską wytwornością.

„Fajdon" wykazuje pod tym względem znaczny zwrot ku lepszemu. I tu jednak natrafiamy na słowa rażące, np. „b a j u r a" (str. 121), lub — niestety — w opisie śmierci Sokratesa (str. 135): „łzy c i u r k i e m puściły się", „r y k n ą ł spazmem", „kobiety do domu wyprawiłem, żeby takich rzeczy nie w y r a b i a ł y"...

Ażeby skończyć z usterkami, zauważymy jeszcze, że przyzwyczajeni do pięknych i wyczerpujących wstępów prof. Witwickiego, byliśmy trochę rozczarowani, znajdując na czele „Fajdona" jedynie wykład filozofji pitagorejskiej, na której opiera się konstrukcja myślowa tego dialogu. Pewną rekompensatę otrzymujemy w obszernych objaśnieniach na końcu książki, zajmujących się jednak również jedynie stroną filozoficzną „Fajdona" i jej krytyką.

Wytknąwszy „plamy na słońcu", nie będziemy już tracili czasu i miejsca na rozpływanie się w zasłużonych pochwałach tego jeszcze jednego pięknego i wiernego przekładu Witwickiego. Powiemy tylko, że tłumacząc Platona tak jak to czyni, polski filozof i hellenista dokonywa wielkiego dzieła nie tylko literackiego i artystycznego, ale i społecznego. Oby je doprowadził do końca.

Nie zapomnijmy wreszcie o pięknych i pełnych smaku ilustracjach, któremi tłumacz ozdobił swą książkę. Reszty dokonało wzorowe wydawnictwo „Książnica-Atlas".

Ignacy Wieniewski.

C. Sallustius Crispus. Bellum Iugurthinum. Do użytku w gimnazjach opracował **Artur Rapaport.** Lwów, Książnica-Atlas, 1925; str. 88. — De conjuratione Catilinae liber. Tamże; str. 4nl. i 56.

„Książnica" prowadzi dalej pożyteczne dzieło dostarczania młodzieży gimnazjalnej dobrych podręczników filologji klasycznej zamiast dawnych, obcego pochodzenia. Po szeregu różnych autorów greckich i rzymskich przyszła w tym roku kolej na oba pisma historyczne Sallustiusa, „Wojnę z Jugurtą" i „Spisek Catiliny". Opracował je znany filolog lwowski, prof. dr. Artur Rapaport, i z zadania swego wywiązał się bardzo dobrze. Trafnie wybrane wyjątki obu dzieł poprzedził zwięzłemi wstępami, w których na szczególną uwagę zasługuje omówienie dziejów Sallustiusa w Polsce. Strona zewnętrzna, jak zwykle w wydaniach „Książnicy", staranna i gustowna.

iw.

O znakomitej autorce Elizie Orzeszkowej

Eliza Orzeszkowa. Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne ze wstępem **Aurelego Drogoszewskiego.** Tom II—III. Nad Niemnem. Powieść w dwóch częściach. Część I—II. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 198 i 2nl. (I) i 288 (II).

Teraz, kiedy prądy czasu i prądy wytworzone nową sytuacją Polaka w stosunku do Europy nakazują nam zrewidowanie zasług i wartości, sądzę, że stanowczo na nowo musimy przepatrzeć dorobek powieściowy literatury polskiej drugiej połowy XIX w. Cienie tam nieraz wydadzą się nam światłami, a to, co dotychczas za światła nam uważać kazano, odmienną ukaże postać. Dzisiaj właśnie nowe myśli i nowy ustrój Europy przeniknąć zdołały do naszej literatury, odejmując jej pewną bezpściowość myślową i estetyzm, mimo wszystkie konkretne przyczyny jej rozkwitu, nadmierny. Teraz też nowemi źródłami rozmyślań i badań winno stać się dla nas dzieło Bolesława Prusa i Elizy Orzeszkowej.

Myśli te (oddawna zresztą zaprzątały mię one) wzmogło obecnie odczytanie arcydzieła Orzeszkowej „Nad Niemnem", które właśnie ukazało się w nowem wydaniu. Od lat młodzieńczych zaliczałem tę książkę do arcydzieł literatury ojczystej, nie zaglądając do niej nigdy w poważniejszym wieku, niestety. Teraz odczytana — wydała mi się śmiała i dojrzała, a nadewszystko żywa. Ogromnie żywa i do dziś dnia pełna mocnego wyrazu.

W dziele Orzeszkowej tak bardzo splata się strona społeczna i artystyczna, iż niepodobna ich oddzielić — zresztą właśnie owo zlanie się i organiczne poprzerastanie problematów społecznych i estetycznych stanowi charakterystyczne piętno owego dzieła, a może i całą jego wartość. Dla jasności jednak postaram się omówić osobno konstrukcję tych dwóch oblicz powieściopisarstwa Orzeszkowej.

Strona artystyczna w owych czasach oczywiście miana była za podrzędną, sama Orzeszkowa uważała ją za ciało, w którem skrywać się miała owa dusza - myśl, skoro obojętnie odrzucała „pana Korzeniowskiego", mówiąc, że nic nas nie obchodzi twórczość artystyczna powstała z czynu, dla niej równego zdradzie. Niedaleko odeszliśmy od owych czasów — a raczej powróciliśmy do tego mniemania (prawie!). Twierdzenia podobne znajdujemy w najnowszych pracach zaciekłych idealistów, jak Żeromski, jak Duhamel. Poddają oni środki celowi — i oczywiście mają do pewnego stopnia rację.

Środki Orzeszkowej są nader proste. Niby zręby stodoły, naprzód buduje szkielet powieści. Naschwał. Obecnie jesteśmy przyzwyczajeni do improwizacji, stajemy przeto zdumieni wobec konstrukcyjnej mocy planu. Zazwyczaj w współczesnej polskiej powieści wyjeżdża się, czwórką czy trójką koni, wszystko jedno, za wrota, puszcza się lejce i wierzy się, święcie się wierzy, że rumaki talentu, powodzenia, lub poprostu fugi językowej wywiozą. Gdzieś się zawsze zajedzie...

Odzwyczailiśmy się od tego mocnego i świadomego brania w ramy wymowy i dialektyki, od tego pełnego powagi „stąd—dotąd", świadczącego o dojrzałości pisarza i spotykanego u wszystkich wielkich prozaików, którzy wielcy byli i wielcy zostali.

Oczywiście przeciwstawienie dwóch światów jest formą dla opowiadania epickiego nie nową, a właściwie mówiąc — jak świat starą. Orzeszkowa jednak światy te, przeciwstawiając sobie, jeden i drugi światłem i cieniem wypełnia, żywemi stwarza i przechodząc najdrobniejsze odcienie, skalą stopni rozlicznych i skomplikowanych dochodzi do przedstawicieli i kwiatów obu społeczeństw — Jana i Justyny.

Kompozycja jasna, przedstawiciele dwu odmiennych środowisk, poprzez przeszkody piętrzące się zewsząd (tym razem wartościowe, acz niezbyt pogłębione psychologicznie — na szczęście — przeszkody wewnętrzne!) dochodzą do posiadania siebie, a oczywiście, co się samo przez się rozumie — do zlania poprzez siebie dwóch przeciwstawionych światów w idealne jedno, nową Polskę odrodzoną, która wyłania się z za ostatniego słowa powieści tak nieuchronnie, jak słynne niedomówienia na marginesach.

Połączeniu się Jana i Justyny od samego początku przeciwstawiają się pewne czysto epickie retardacje. Jedyną wadą konstrukcyjną jest pewna nierównowaga w rozłożeniu tych retardacyj, których zbyt wielka ilość przypada na tom drugi powieści. Konstrukcja, jakoby główny deseń powieści, przypominający dwie linje łączące się w gotyckie odrzwia, podkreślona jest linjami bocznemi, echolaljami, słabszemi ale kreślącemi łuki bardziej podniebne, idealniejsze. Najbliższą linją równoległą do dziejów Jana i Justyny jest historja Anzelma i Marty, dalej już w pomroce czasów ginąca sprawa Cecylji i Jana, najdalej pieśń ludowa, prosta i rzewna: „Ty pójdziesz górą, a ja doliną...", lotnem powietrzem prastarej nuty o nieokreślonej epoce otaczająca miłość dwojga najbliższych. Zauważmy jeszcze kolejność szczęśliwych połączeń Jana i Justyny i Jana i Cecylji, tudzież nieszczęśliwe rozłączenie linij u Anzelma i Marty i w pieśni, a spostrzeżemy, jak subtelną budowę paralelizmów przedstawia szkielet „Nad Niemnem". Budowa ta przypomina nieco echolalje miłości Sorela i Matyldy de la Mole w „Czerwonem i czarnem", jednak jest bogatsza, prostsza i bardziej konsekwenta.

Szkielet ten (przeciwstawienie dwóch światów i szereg ginących paralelizmów) napełniony został pełnym farb życia spektaklem marjonetek, rzec chciałem — charakterów. W malowaniu ich jednak przeważa element społeczny, być może dlatego nie wszystkie są dostatecznie żywe. Trzeba jednak dodać, że t. zw. charaktery dodatnie posiadają tu tyleż prawdy i wypukłości, co i ujemne. Rzecz w książkach „à thèse" i dawnych i nowych nieoszacowanie rzadka.

Jakaż jest teza społeczna Orzeszkowej? Zabawnie prosta, zwyczajna, zdrowa, jasna i dziś każdej świadomości (prawie!) przyswojona. Oczywiście teza nader „przyziemna" — i nie dziwimy się teraz, że Orzeszkowa była czemś w rodzaju Mniszkówny w epoce estetycznego światopoglądu „Chimery". Brzmi ona jak następuje: „Przyszłość Polski tkwi w drobnem rolnictwie". To konkretne jednak związanie przez tezę niezmiernie żywą i głęboko w życie narodu wchodzącą stanowi zarazem o wartości i trwałości powieści Orzeszkowej.

Rzecz prosta, że „szlachectwo" Bohatyrowiczów nie odgrywa tu żadnej roli. Często w toku opowiadania nazywani oni są chłopami. Orzeszkowa świat ten znała i kochała, stał się dla niej symbolem poprostu, a przecież bliski on jest niezmiernie temu, co nazywamy „chłopstwem Małopolski zachodniej" lub „góralami". Uważać więc musimy Bohatyrowiczów poprostu za odradzające się włościaństwo, w przeciwstawieniu do upadłego „możnowładztwa" familji Korczyńskich. W zlaniu się elementów tych widzi Orzeszkowa przyszłość kraju, w połączeniu się przy wspólnej p r a c y.

„Nad Niemnem" bowiem jest jednym wielkim hymnem pracy; ona to jest zbawieniem tych z „wyższych sfer", którzy się chcą jej poświęcić, ona jest arką przymierza, chroniącą czystość duchową Bohatyrowiczów. Brak pracy — to śmierć duchowa, praca — to pokarm. I to praca bynajmniej nie w pojęciu abstrakcyjno-deklamatorskiem lub biurokratycznem; praca fizyczna, codzienna, własnoręczna, dająca słodkie zmęczenie muskułów, jest przedmiotem zachwyconej epopei — na wiele lat przed Stanisławem Brzozowskim.

Na tym właśnie stosunku do pracy polega nowoczesność Orzeszkowej, jak jej żywotność polegała na żywotności narodowej (ludzkościowej?) jej tezy zasadniczej. Potępienie, nawet dosyć dosadne (coprawda ustami Benedykta Korczyńskiego), większej własności jest jakby potępieniem dla kapitalizmu, a droga drobnej własności, którą nam wskazuje Orzeszkowa, jako zbawienie pomiędzy kapitalizmem i komunizmem, podobna jest do rozwiązania Chestertona, które ten nazywa „dystrybucjonizmem". Z tej strony nie ważyliśmy jeszcze zdaje się dzieła autorki „Nad Niemnem", dopiero lata przeżyte niedawno otwierają nam oczy na jej praktyczny idealizm.

Idealizm ten zdaje się nam być jasny; pod tym chyba jedynie względem perspektywa zatarła nam wartość dzieła Orzeszkowej; nie orjentujemy się, jakiego wysiłku kosztowało w owej epoce zdobycie się na idealizację „czynu" potępianego wówczas, jak również na dosadne i bardzo energiczne przekreślenie narastającego estetyzmu (Orzelski, Zygmunt Korczyński), który nic, właściwie mówiąc, nie ma wspólnego ze sztuką. Dziś przebyliśmy już chorobę pozytywizmu, chorobę estetyzmu, przystąpiliśmy do budowy nowej Polski — Polski ludu i Polski pracy. W drzwiach nowej budowy powinniśmy wyryć nazwisko wielkiego obywatela, największej powieściopisarki polskiej, Elizy Orzeszkowej, której mądrość, takt, miarę i przewidywanie możemy teraz dopiero należycie ocenić.

Jarosław Iwaszkiewicz.

Tradycja „bizuna" i „gromada nicponiów" w świetle wspomnień

Dr. **Stanisław Morawski.** Kilka lat młodości mojej w Wilnie (1818—1825). Wydali **Adam Czartkowski** i **Henryk Mościcki.** Z 24 ilustracjami. Warszawa, „Bibljoteka Polska", (1925); str. XVII i 1nl. i 541 i 1nl.

Mówi się wiele o świętości uczuć rodzinnych w dawnej Polsce, o tkliwości rodzicielskiej, osłoniętej często wprawdzie pozorami surowości, lecz w gruncie rzeczy ślepej i bezbronnej w swojem miłowaniu. Kazimierz Brodziński w rozprawie swojej „O klasyczności i romantyczności tudzież o duchu poezji polskiej", charakteryzując ogólnie ducha narodowego, uznaje za stosowne również podkreślić tę cechę jako zasadniczy objaw obyczajowości polskiej. Te uczucia rodzinne, a zwłaszcza rodzicielskie, nie zawsze przybierały postać tak sentymentalnego oddania czy samozaparcia (obok zewnętrznej szorstkości), jak to przeważnie kreśli historyczna powieść polska. Rozrzewniamy się w związku z tem wspomnieniami o ojcu Karpińskiego, który w tkliwości swojej synala ustawicznie bizunami częstował i prał po pysku, ucząc go pokory i poszanowania „wieku i urzędu". W tem wszystkiem znajdujemy pewien posmak tkliwości i sentymentu czysto swojskiego, którym się lubujemy, kiwając zcicha i dyskretnie głowami, że ano teraz młodzież wyrasta jakoś inaczej, że te „bizuny" i „kobierce" jakoś mniej się jej uśmiechają, i że „włos siwy" traci na zachowaniu.

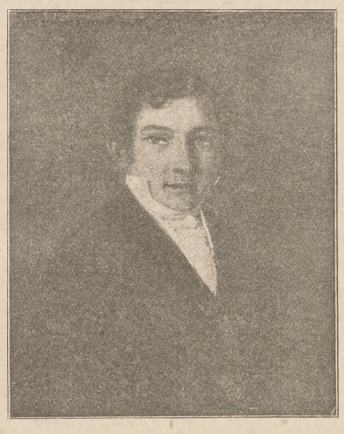

STANISŁAW MORAWSKI
portret Ksawerego Kaniewskiego

Rzucając pożegnalnem okiem na te zabytki rodzimego obyczaju poprzez mgłę romantyczną dziejowych wypominków, zarzucamy dobrowolnie zasłonę na mniej poczesne, choć niewątpliwie istotne źródła takich objawów miłości rodzicielskiej: bezmiaru głupoty, dzikiego uporu i tępości umysłowej. Oczywiście, jest to „niehistoryczny" może punkt widzenia, lecz to dziejowe „wczoraj" zbyt „przypochlebnie" patrzy nam w oczy, czekając mściwie na chwilę naszej słabości, by wgarnąć się w duszę, zgwałcić naszą wolę. Romantyczny kolory, jakim otacza np. Żeromski starego C bromskiego, jest już objawem tego ustępstwa, tego wkradającego się podstępnie w serce żalu i rzewności. My, ludzie współcześni, miejmy odwagę powiedzenia o typie tego rodzaju, że jest s t a r y m d u r n i e m, podobnie jak durniem jest ojciec Karpińskiego, chowający synów w staropolskiej grozie. Z punktu widzenia potrzeb chwili bieżącej niema najmniejszego powodu roztkliwiania się nad typami tego rodzaju i ich „historycznem pięknem".

Ta naiwnie pojęta adoracja piękna staropolskiego obyczaju, kultywowana jeszcze tu i ówdzie w rodzinach ziemiańskich, kosztowała nas zapewne lat sto opóźnienia się w rozwoju dziejowym. Trudno, dożyliśmy takich czasów, że Mikołajek Doświadczyński, jeżeli chce usprawiedliwić swoje istnienie, musi się czemś różnić od ojczulka swego, i z tem się trzeba liczyć. Prawo „doboru naturalnego" dziejów zbyt widomie już wszystkich ściska teraz za gardło, byśmy czas mieli na tak staropanieńskie jeszcze sentymenty.

Nie jest to zresztą bynajmniej cecha obyczaju polskiego tylko lub przywilej szlachectwa. Uderzająco podobne typy „samodurów" ze sfery kupieckiej znajdziemy w rosyjskich dramatach Ostrowskiego. Jest to wogóle oderwany typ starego kutwy i sobka, pieniacza, gdery, śledziennika, pieczeniarza i durnia, którego z niewiadomego powodu otaczamy źle ukrytą adoracją, patrząc nań z „bolesną pogodą" czy z „pogodnym bólem"...

Te ogólne uwagi nasunęły nam się na myśl przy czytaniu tego zewszechmiar ciekawego i wartościowego pamiętnika Stanisława Morawskiego, rzucającego niemało światła na nasze stosunki obyczajowe i polityczne początku XIX w. Typem takiego starca — „samodura" jest właśnie ojciec pamiętnikarza — Apolinary, szambelan Stanisława Augusta, który z dwóch cech historycznego typu — zewnętrznej surowości i wewnętrznej tkliwości — zachował tylko pierwszą. „Ojciec ani razu w życiu swojem nie pocałował mnie w twarz; dziecięciu, jedynemu dziecięciu, ani jednej nigdy zabawki lub cacka nie kupił... Do lat trzydziestu ani w domu, ani w kompanji żadnej usiąść mi przy nim nie było wolno"... — pisze pamiętnikarz.

Syn, zmuszony później przez ojca wbrew woli swojej do studjowania medycyny, mozolnie przezwycięża swój wstręt do obranego zawodu, by go w końcu rzucić, osiąść, po śmierci ojca, w rodzinnym majątku — i zostać mizantropem. Fenomenalna karta z dziejów dobroczynnego wpływu ojca na syna, uzupełniająca obraz z dziejów stosunku starego Olbromskiego do Piotra i Rafała, lub rejenta do Wacława.

Pamiętnik ten odtwarza zarazem życie ówczesnej arystokracji polskiej, sfer urzędniczych, stosunki polsko-rosyjskie.

Na specjalną uwagę zasługuje jednak obraz świata filareckiego ze względu na jego związek z Mickiewiczem, o którym autor kilkakrotnie wspomina, choć postać poety, niestety, przesuwa się na dalszym planie i znika w szeregu błahych ludzi i zdarzeń. Współcześni, widać, przynajmniej naówczas (1818—1825), nie wyróżniali specjalnie poety z szeregu filaretów; dla nich był on mimo swego talentu poetyckiego jednym z wielu. Tomasz Zan czy Jeżowski nabierają wyraźniejszych konturów w tym pamiętniku, niż Mickiewicz. Oświetlenie jednak procesu filaretów przez Morawskiego zasługuje na szczególną uwagę, gdyż powinno się przyczynić do zburzenia przesadnej legendy o działalności patrjotycznej filomatów i filaretów.

Przed dwoma laty piszący słowa niniejsze („Przezwyciężenie filomatyzmu przez Mickiewicza", „Przegląd Warszawski", nr. 23, 1923), opierając się na twórczości Mickiewicza i korespondencji filomatów, podał w wątpliwość ich zasługi dziejowe. Wyraziłem pogląd, że zbrodnie imputowane filomatom przez komisję śledczą Nowosilcowa miały bardzo nikłą podstawę w rzeczywistości, że stronili oni od polityki i w żadnej poważniejszej akcji tego rodzaju uczestniczyć nie chcieli; że w wyroku, potępiającym filomatów, była lwia część kaprysu, samowoli despoty i wyrachowania osobistego Nowosilcowa.

Prof. Pigoń w polemice ze mną stwierdził z oburzeniem, że w stosunku do filomatów popełniłem to samo świętokradztwo, co i w stosunku do „Pana Tadeusza", — że uczyniłem z nich „gromadę nicponiów"... Nie trudnoby mi było tutaj prof. Pigoniowi, lekkomyślnie i nieopatrznie nadużywającego „fałszu" — fałsz zarzucić, zostawiając jednak narazie na uboczu sprawę owych „nicponiów", stwierdzam, że nieladajakiego obrońcę swoich tez w stosunku do filomatów znajduję w omawianym Stanisławie Morawskim, przewodniku granatowego grona filaretów, wojewodzie promienistych, członku Związku Przyjaciół i członku-korespondencie Towarzystwa Filomatów. Nasz pamiętnikarz był wybitnym i zaufanym członkiem tych towarzystw, poruczano mu sprawy odpowiedzialne i poufne, jak np. wybadania Ksawerego Ogińskiego i wykrycia jego związku z organizacjami warszawskiemi.

Stanisław Morawski, zdający sobie wszak chyba dokładnie sprawę z istoty działalności tych związków, pisząc ten pamiętnik w r. 1848 i nie przeznaczając go bezpośrednio do druku, nie miał wszak powodu fałszowania rzeczywistości, i dlatego oświetlenie jego zasługuje na szczególną uwagę. A stwierdza Morawski, wbrew wszelkim naszym upodobaniom do legend, rzeczy istotnie dość charakterystyczne.

Istotę śledztwa i „zbrodni" filomatów ujmuje sprosta w formę przysłowiowej opowieści: „Kto chce psa uderzyć, zawsze kij znajdzie" — ale ja teraz najzupełniej w żadne przysłowia nie wierzę, a przeciwnie wierzę temu, że z piasku bicz ukręcić można. Oto, naprzykład, u progu kościoła widzę gorliwie modlącego się człowieka. Jeżeli jestem silniejszy, bezpieczny o siebie, a zły w duszy mojej, jeżeli, wrzekomo mówiąc, mam nieco żylki owej śledczej komisji, któż mi zabroni wpaść na tego biedaka, zbić go na gorzkie jabłko i wielką gębą wołać i dowodzić: „Ty bezbożniku, ty niegodziwcze, ty zuchwalcze, ty zbrodniarzu, modlisz się oto do Boga, żeby mnie djabli prędzej wzięli!" Dowiedźże mi, że ten biedak wcale tego u Boga nie prosił!" (str. 213).

Otóż filareci, zdaniem wszak tego uczestnika prac ich i zabiegów, byli t a k i m i przestępcami politycznymi. W całej sprawie, którą z takim nakładem energji i gorliwości prowadziła komisja śledcza Nowosilcowa, zdaniem autora wogóle żadnego „wątku niema" (str. 211), że „góra mysz zrodziła" i t. d.

Że dopiero później, zarówno młodzież dręczona w więzieniu jak i pozostali na wolności, przeżywając lub słysząc o tych okropnych a tak bez winy spadających prześladowaniach, zaciskają pięści i snują plany zemsty, jak stwierdza autor, „dziecinne, próżne wykonania, dla próżnej wymyślone parady". „Każdy i dziś przysięże, że te projekty, jakkolwiek zbrodniczym umazane celem, były w istocie próżną słów igraszką, dziecinną fanfaronadą, i że taki smarkacz, co się z najsroższą odgrażał wściekłością, muchyby nawet bez płaczu nie zabił" (str. 216).

Nawiasem mówiąc, pamiętnik ten rzuca niemało światła na tło historyczne III cz. „Dziadów". Choć w sprawie przyczyn owego śledztwa Mickiewicz również przez usta Żegoty i Zana stwierdza, że „wątku" nie było („Przecież b e z w i n y w Sybir nas nie wyślą"), jednak podniosły i a k t y w n i e p a t r j o t y c z n y nastrój tej młodzieży w więzieniu mimowoli pod wpływem tego utworu przesuwamy wstecz, przedstawiając sobie w ten sposób wogóle filomatów i filaretów. Otóż, opierając się na Morawskim, możemy stwierdzić, że ten nastrój jest bezpośrednim rezultatem uwięzienia, zrozumiałą reakcją na samowolę urzędów, i że w takiem zabarwieniu wystąpił dopiero teraz jako rzecz n o w a.

Wydobycie na jaw tego pamiętnika, ułatwiającego w znacznym stopniu odtworzenie właściwego obrazu rzeczywistości historycznej w pewnym jej fragmencie o niemałem znaczeniu, jest wielką zasługą wydawców tej książki: Adama Czartkowskiego i niestrudzonego Henryka Mościckiego, którzy dołożyli wszelkich starań, by pamiętnikom tym nadać, obok właściwej formy graficznej, także stosowną a bogatą oprawę ilustracyjną.

Jedną z największych luk naszej literatury historycznej jest brak odpowiednich wydań pamiętników dziejowych, których stosy przecież leżą w rękopisach. Zbliżenie się do nich zainicjuje niewątpliwie nowy okres badań historycznych i najprawdopodobniej — przewartościowanie wielu wartości i utartych sądów.

„Bibljoteka Polska", która w swej pracy wydawniczej nie ulękła się tego tak niewdzięcznego na zewnątrz, lecz tak poważnego i owocującego na przyszłość zadania, napewno nie pożałuje tych doniosłych, choć może niepokupnych wysiłków.

Jan Nepomucen Miller.

Eros na Olimpie

Jan Parandowski. Eros na Olimpie. Lwów, H. Altenberg, 1924; str. XII + 208.

Przed rokiem przeszło, zdając na tem miejscu sprawę z „Mitologji" Parandowskiego, nazwałem tego pisarza naukowym beletrystą. Trafność tego określenia potwierdza znakomicie „Eros na Olimpie". Jak sam autor zaznacza w przedmowie, posłużyły mu za materjał do tego zbioru niezużytkowane ze względów pedagogicznych anegdoty erotyczne, zawarte w mitach oraz poematach greckich i rzymskich.

Siłą tych jedenastu opowieści, sprowadzających bogów, półbogów, nimfy i bohaterów do wspólnego mianownika, jest ich ludzka słabość: żądza rozkoszy. Przygoda miłosna z niezwykłym kunsztem została przez Parandowskiego wyjęta z całokształtu mitów, odosobniona i uposażona samoistnem życiem. Kto czyta „Erosa na Olimpie", temu się snadnie wydać może, że bohaterowie niebiescy, poza potencją lub impotencją seksualną, nie mieli w sobie żadnej mocy, i że postacie ich nie tworzą innych symbolów ludzkich właściwości.

Fallus triumfujący! I dobrze zrobił autor, że zatuszował wszystkie rysy, które mąciłyby nowelistyczną osnowę tych opowiadań. Przez to świadome opracowanie legend i tekstów, użytych w konsekwentnym celu, potrafił Parandowski uczłowieczyć namiętności bogów, aż nadto człowiecze, które jednak wpięte, wtłoczone w świat całej legendy — przez swoją nadludzką patetyczność zawsze stają się tajemnicą. Parandowskiemu nie chodziło o tajemnicę, nie chodziło o żadne wykładanie sekretnych obrzędów, sprawujących się na Olimpie, przeciwnie — pragnął nam samodzielnie odtworzyć tę dziwną p o u f a ł o ś ć bogów olimpijskich, która sprawia, że będą nam oni zawsze bliżsi, niż bogowie innych mitologij, nie wyłączając germańskiej. To się autorowi najzupełniej udało. Z wielkim umiarem, z godną ostrożnością przystąpił Parandowski do swojej mozaikowej roboty. Trzeba posiadać olbrzymią wiedzę, żeby tak swobodnie, niemal żartobliwie, samemi muśnięciami wyciągać z nieśmiertelnych ziół starożytnych — ich siodki, trujący sok. Pewien sybarytyzm estetyczny, właściwy umysłowości tego uczonego pisarza, znalazł tutaj teren dla prawdziwych orgij. Językiem perełkowym, nieco zdrobniałym, pozbierał autor opiłki ze szlachetnych kamieni i złożył z tych opiłków misterne cacka w stylu rokoko. Niejednokrotnie — za pomocą kilku pociągnięć — potrafił narysować linje rozdzierającego serce tragizmu, jak np. w opowiadaniu o Pazyfae, której miłość do byka wydała owoc Minotaura.

„Nie trzeba genjuszu Epikura, — pisze Parandowski o Olimpie, — żeby widzieć, iż ci bogowie ludźmi i światem się nie zajmują. Podobni do rzymskich imperatorów i francuskich Ludwików, uważali ziemię za nienajgorsze miejsce rozrywek".

I w istocie autor znakomicie podpatrzył tę stronę mitu.

Książkę, wydaną przez zasłużoną firmę H. Altenberga we Lwowie, zdobią przepiękne plansze, „wykonane wedle oryginalnych zdjęć ze starożytnych zabytków".

Wypada nadmienić również, że autor poświęcił „Erosa na Olimpie" pamięci Alfreda Altenberga, naszego nieodżałowanego wydawcy, którego był współpracownikiem.

Józef Wittlin.

Dnia 7 maja 1925 r.
staraniem redakcji
„KURJERA POLSKIEGO"
w salonach i ogrodzie
Hotelu Europejskiego
odbędzie się
FIVE O'CLOCK
w połączeniu z wielką
REWJĄ MODY
na rzecz Daru Narodowego 3 Maja
Polskiej Macierzy Szkolnej
Komitet organizacyjny, złożony z najwytworniejszych sfer stolicy oraz udział pierwszorzędnych firm zapewnia tej jedynej w swoim rodzaju imprezie niezawodne powodzenie
WEJŚCIE TYLKO ZA ZAPROSZENIAMI
Informacji udziela administracja „Kurjera Polskiego", Szpitalna 12, tel. 47-25, codziennie od 9 do 6 pp

Nr. 12 „Naokoło Świata"

zawiera:

Leon Chrzanowski: Za wrotami Watykanu (12 ilustracyj). — *Mieczysław Czaplic:* Z listów Giovanny i Mercedes (6 ilustracyj K. Sopoćki). — *Henryk Fukier* Nullum vinum (7 ilustracyj). — *Szymon Nawrocki:* Pliszki (5 ilustracyj K. Mackiewicza). — Gen. *Bronisław Grąbczewski.* W głębi chanatu bucharskiego (14 ilustracyj). Wesołego Alleluja (ilustr. K. Mackiewicz). Chińska litanja (11 ilustracyj M. Berezowskiej). — *Marja Królowa Rumuńska:* Żołnierz Bazyli (portret B. Szańkowskiego i 6 ilustracyj K. Mackiewicza). — *Margaret Super:* Na rozstajach Pacyfiku (2 kartony i 11 ilustracyj). — Inż. *St. Burzyński:* Byle chyżej! (9 ilustracyj). — *Wł. Z-cki:* Magja miłości (8 ilustracyj). — *Aleksander Junosza-Olszakowski:* Alter ego (9 ilustracyj B. Nowakowskiego). — Z teki humorysty (rysował Walentynowicz i Nowakowski). — Inż. *Niedzielski:* Próby inteligencji (2 ilustracje). — Rozrywki umysłowe.

Okładkę trójbarwną wykonał *Rożankowski*

WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA

Cena zł. **2.50**

Notatki

— „Prager Presse" wydało obszerny, całkowicie Polsce poświęcony numer, którego znaczną część, obok artykułów treści politycznej i gospodarczej, zajmuje literatura i sztuka polska. Prace krytyczne i informacyjne Brücknera, Bunikiewicza, Szyjkowskiego i innych dają syntetyczne pojęcie o całokształcie polskiej artystycznej twórczości ostatniej doby. Przełożono prozę Żeromskiego, Kadena-Bandrowskiego, Małaczewskiego, Reymonta, Tetmajera; poezje — Staffa, Kasprowicza, Lechonia, Tuwima, Broniewskiego, Wierzyńskiego i Lieberta. Bogactwo materjału oraz wysoki poziom przekładów (dokonanych przez J. Kalmera, O. Picka, L. Koszellę i innych) — składają się na całość imponującą i cenną dla interesów kultury polskiej zagranicą.

— Pan minister Benesz dwa razy przemawiał publicznie podczas swego pobytu w Warszawie i zarówno kiedy odpowiadał panu Skrzyńskiemu jak również do dziennikarzy polskich — mówił przedewszystkiem o polskiej literaturze, — nie tylko o. Mickiewiczu i Sienkiewiczu, ale i z dyskretną przyganą, że najnowszą literaturę polską lepiej znają czesi od nas. Jeżeli jeszcze są jakieś władze rządowe i miejskie, które nie rozumieją, ile się da przez literaturę i sztukę zrobić dla polityki i znaczenia państwa — może ich praktyczny czech, p. Benesz, czegoś nauczył.

— W Danji znajomość literatury polskiej jest mniejsza, niż warunków życia Polski i historji polskiej. Winę tu ponosimy my właściwie, ponieważ nie nawiązujemy łączności z pisarzami duńskimi. Wiele można będzie zrobić w Warszawie przez świetnego pisarza J. Joergensena, który w maju 1925 r. przybyć ma z odczytami do Polski. Narazie zanotować należy kilka książek duńskich, poruszających tematy polskie. Są to: powieść pani Agnes Henningsen, utalentowanej autorki, p. t. „Polens Dotre" („Córy Polski") i p. Emila Rässmunsena wielki 4-tomowy cykl: „Det polske Blod" („Polska krew"), składający się z powieści: „Paa flygtende Fod", „Men Stormene gaar", „Det polske Blod" i „Hjem til Polen".

*

Anglicy nad Stochodem.

„The River of Hundred Ways" („Rzeka o stu łożyskach") — pod takim tytułem wydała znana londyńska firma księgarska Allen and Unwin książkę pp. Joice'a H. Nauhivella i Sidneya Locka. Autorzy byli przez czas dłuższy czynni jako członkowie jednej z misyj angielskich w Polsce i w tym charakterze przebywali na Wołyniu nad Stochodem, rzeką „of hundred ways", która dała tytuł ich książce. Będąc więc świadkami martyrologji zarówno ludności miejscowej jak i uchodzców polskich, wracających z Rosji, dali obraz tego straszliwego życia w wyrazach pełnych grozy i współczucia, poświęcając mu blisko trzysta stron. Dobrze się stało, że społeczeństwo angielskie otrzymało niepodejrzany opis drobnej przynajmniej cząstki tych trudności, z jakiemi walczyć musiało młode państwo polskie. Ministerstwo spraw zagranicznych powinno na książkę tę zwrócić uwagę ze względów propagandowych.

O „Murzynów" literatury.

Edmund Keyser, jak już donosiliśmy w nr. 2 „Wiadomości", rozpoczął w „Journal Littéraire" kampanję w obronie „Murzynów" literackich, którzy za wynagrodzeniem pieniężnem dostarczają wybitnym nieraz pisarzom pomysłów do dzieł lub nawet gotowych utworów, sami pozostając w ukryciu. W obronie tych „Murzynów" zabiera głos niejaki Ludwik Thomas, porównywający ich pracę z pracą sekretarza dyrektora banku np., który kreśli plany pewnych operacyj finansowych, albo oficera sztabu generalnego, który układa program działań wojennych, okrywających potem sławą wodza naczelnego. Pan Thomas jest zdania, że taki podział pracy nie ma w sobie nic hańbiącego. Mniejsza jednak o wywody natury moralnej: ciekawsze jest twierdzenie p. Thomas, że dla jednego z pisarzy napisał kiedyś książkę, uwieńczoną następnie przez Akademję Francuską. „Jest to jedyne moje dzieło, — dodaje złośliwie p. Thomas, — które Akademja uwieńczyła; dowodzi to najlepiej, jak wielkie znaczenie posiadają stosunki towarzyskie".

*

— W małem miasteczku pod Tulonem zmarł niedawno syn Juljusza Verne'a. Ojciec nie pozostawił mu prawie nic, gdyż za życia jeszcze sprzedał wszystkie swoje prawa wydawnicze pewnemu księgarzowi za 25.000 franków rocznej renty.

— Sowieckie wydawnictwo państwowe opracowało plan 80-tomowej edycji dzieł wszystkich Tołstoja.

— W Moskwie ukazały się pamiętniki Tatjany Kuzminskiej, siostry żony Tołstoja; Kuzminskaja była wzorem, według którego znakomity pisarz ukształtował Nataszę Rostową w „Wojnie i pokoju".

— Gorkij bawi obecnie w Capo de Sorrento, gdzie pisze nową powieść, przygotowywaną od szeregu lat, z życia kupców rosyjskich; przedstawione są tu trzy pokolenia w okresie od r. 1880—1918.

— Najnowsza książka Wellsa nazywa się „The Year of Prophsying".

— Marja Hamsun, żona Knuta Hamsuna, która przed dwoma laty ogłosiła tom wierszy, wydała niedawno powieść.

— Blasco Ibanez, Miguel d'Unamuno i Eduardo Ortega y Gasset zostali wezwani do stawienia się w ciągu 10 dni u madryckiego sędziego śledczego okręgu uniwersyteckiego, jako oskarżeni o zbrodnię obrazy majestatu i nawoływanie do buntu.

— Nr. 369 „L'Europe Nouvelle" poświęcony jest Niemcom współczesnym; na obfity zeszyt składa się szereg prac wybitnych działaczy i pisarzy niemieckich, z Tomaszem Mannem, Stresemannem, Preussem, Loebem, Breitscheidem, Gesslerem na czele.

— Czterechsetna rocznica urodzin Camoensa była święcona w Madrycie specjalną wystawą. Na wystawę tę złożyły się: wszystkie wydania dzieł Camoensa, zarówno w oryginale jak w przekładach, komentarze i biografje, całkowita ikonografja poety, widoki starej Lizbony i Portugalji, wreszcie obrazy i mapy, dotyczące miejscowości, gdzie toczyła się akcja utworów Camoensa.

— Z powodu książki znakomitego aktora fancuskiego Gémier „Le théâtre" wybitny krytyk francuski René Lalou ironicznie komentuje jego aktorską interpretację Shylocka, Makbeta i Hamleta, niezgodną z tekstem szekspirowskim.

— Książka Schneidera o Duse pozbawiona jest elementu anegdotycznego. Tezą Schneidera jest, że Duse-aktorka była wielka, ale Duse - kobieta jeszcze przewyższała aktorkę.

— Odnaleziono dwa nieznane utwory Baudelaire'a: poemat „A une courtisane" oraz sonet „Sur la mort d'un enfant".

— Ukazał się drugi tom wykładów Łunaczarskiego o literaturze zachodnioeuropejskiej. Obejmuje on literaturę francuską przed i w czasie rewolucji, klasycyzm niemiecki, romantyzm, Byrona i Heinego, realizm XIX i XX w. oraz czasy najnowsze.

— W Kijowie powstał dom ludowy Tarasa Szewczenki, połączony z czemś w rodzaju muzeum poety.

— Nowe dzieło Fritza von Unruh nazywa się „Flügel der Nike": zawiera ono wrażenia z podróży do Paryża i Londynu.

Plastyka

Salon Garlińskiego. Obrazy **Tymona Niesiołowskiego** i portrety **S. I. Witkiewicza.**

S. I. Witkiewicz ułatwił orjentację krytykom i publiczności, obok swych portretów zawieszając w sympatycznej sali wystawowej Garlińskiego zwięzłą enuncjację p. t. „Parę dość stosunkowo luźnych uwag o portrecie wogóle i moich portretach w szczególności". Poglądy autora, o ile zdołałem dobrze je wyrozumieć, dadzą się streścić w tezach następujących:

1) Portret w zasadzie może być dziełem Czystej Formy.

2) Dawni artyści mogli tworzyć dzieła Czystej Formy, nie doformując rzeczywistości i wylizując (exemplum — Holbein).

3) Dzisiejsi natomiast artyści nie mogą tworzyć dzieł Czystej Formy, wylizując jednocześnie i naśladując naturę; skutkiem tego konają w perwersji i obłędzie, co zdaje się być prognostykiem końca sztuki wogóle.

Ustaliwszy w ten sposób pogląd swój na sztukę współczesną, której jednym biegunem — dodatnim — jest Czysta Forma, drugim zaś, ujemnym — wylizanie, przeprowadza Witkiewicz odpowiedni podział własnych swych portretów na kilka typów, począwszy od zbliżonych do Czystej Formy, a tem samem zasługujących na uznanie, kończąc zaś na najbardziej wylizanych, które ceni nader nisko i których wystawienie poczytuje sobie za „kompromis wyższego rzędu".

Następuje regulamin dla zamawiających portrety, skądinąd nader surowy, oraz skorowidz cen na kwiecień i maj roku bieżącego.

Takie jest zdanie Witkiewicza o sztuce współczesnej wogóle i o własnych portretach w szczególności. Opinji tej nie śmiąc komentować lub poddawać dyskusji, przechodzę do prac drugiego wystawcy.

TYMON NIESIOŁOWSKI:
Kompozycja

Tymon Niesiołowski należy niewątpliwie do najkulturalniejszych artystów naszych chwili obecnej; kultura ta jednak stanowi zarazem siłę jego i słabość. Artysta umie posługiwać się szlachetnie uproszczoną formą, streszczającą w sobie zdobycze realistyczne długiego szeregu pokoleń, barwa jego, przy pozorach ubóstwa, pełna jest dyskretnej wytworności — z tem wszystkiem jednak wadą tej sztuki jest zbytnie przejęcie się obcemi wzorami, niezinterpretowanemi w sposób dostatecznie indywidualny. Z tego powodu najbardziej przemawiają do mnie jego martwe natury, proste, zwięzłe w formie i subtelne w harmonji barwnej.

Wacław Husarski.

Muzyka

„Muzyka" — numer marcowy 1925 r.

Marcowy numer „Muzyki" należy do najbardziej interesujących i świadczy, że pismo rozwija się coraz intensywniej. Doskonale prowadzone i dobrze podane notatki muzyczne z Polski i ze świata, przegląd prasy, aktualja, doskonałe „impresje muzyczne", kronika, bibljografja, wreszcie śliczny dodatek ilustracyjny — decydują o niezwykłej żywotności pisma.

Z artykułów wyróżniają się przedewszystkiem: świetny artykuł Weingartnera o sztuce dyrygowania i Karola Szymanowskiego o Ravelu.

Artykuł Weingartnera jest nietylko ciekawy, ale pouczający: zawiera w sobie znane zresztą uwagi Weingartnera, ale z tych prostych, zwięzłych uwag bije bezpośrednia, młodzieńcza szczerość i oczywistość, niepodlegająca dyskusji. Naturalnie autorytet genjalnego mistrza musi sugestjonować czytelnika, jest jednak jednocześnie żywym przykładem wyłuszczonych w artykule przekonań.

Szymanowski pisze o Ravelu nie tylko jako muzyk, ale jak poeta — o poecie. Prześliczne to studjum może przyczynić się do utorowania szerszej drogi w Polsce twórcy „Godziny Hiszpańskiej", którego Szymanowski nazywa: „bezsprzecznie jednym z najwybitniejszych żyjących kompozytorów".

Prace Alicji Simon o filozofji muzyki Hoene - Wrońskiego i dokończenie treściwego studjum Niewiadomskiego o Moniuszce, — zamykają interesujący numer.

Smutnie przedstawiają się natomiast dodatki muzyczne. Nie jest to winą redakcji naturalnie, ale redakcja ponosi odpowiedzialność za drukowane kompozycje. Są to właściwie skrawki kompozycyj znanych kompozytorów współczesnych, skrawki świadczące, poza dwoma wyjątkami, o niewykwintnej i niecekawej całości. Smutno to przyznać, ale drukowanie „takich" utworów w dodatku muzycznym do bądź co bądź poważnego pisma wydaje się ironiczne, a właściwie — bezcelowe.

stb.

Teatr

Teatr Letni: „Fata morgana", komedja w 3-ch aktach **Ernesta Vajdy.** Przekład **K. D. Markiewicza,** reżyserja **E. Chaberskiego.**

Historja bardzo nieskomplikowana. Młody człowiek zostaje sam w domu na dalekiej odludnej wsi. Rodzina pojechała do pobliskiego miasteczka na bal. Jerzy za karę został i uczy się. Niespodzianie przyjeżdża młoda kuzynka ze stolicy. Następuje tak zwany stosunek, przyczem młodzi ludzie, jak się dowiadujemy potem, widzieli jakieś zjawisko optyczne, coś w rodzaju „Fata morgana". Gdzie oni to widzieli — nie wiemy, zdaje się, że w łóżku, po zgaszeniu lampy. Należy podejrzewać, iż były to poprostu tak zwane świeczki w oczach.

W drugim akcie przyjeżdża mąż kuzynki p. Gabrjel Fay. Robi się awantura. Jerzy wyznaje wszystko. Gabrjel chce zerwać z żoną, ale nie zrywa. W trzecim akcie Jerzy cofa wszystko co powiedział. Faya mu przebacza i godzi się z żoną. Biedny Jerzy siada znów do książki i uczy się. Koniec. Jest to historja złamanego serca i prawości młodzieńczej. Sztuka jest nudna i staroświecka, ma jednak parę szczerszych akcentów i atmosferę pewnej czystości, której tak brak członkom naszego „Towarzystwa" czy też „Związku autorów scenicznych". Wszystko to, co ma reprezentować poezję, a więc ów sławny miraż, trąci szmirą i „Mirażem" z Nowego Światu.

Główną rolę męską odegrał p. Hnydziński. Kiedy kurtyna zapada, widzimy p. Hnydzińskiego z książką przy pracy. Mamy nadzieję, iż po paru latach, gdy podniosą kurtynę, p. Hnydziński będzie już coś nie coś umiał. Powinien on się uczyć jeszcze długo i nieupierać się przy zawodzie aktorskim. Pan Walter jako Faya był bardzo podobny. Pani Mieczysława Ćwiklińska naprawdę niewiadomo poco zjechała na to pustkowie do tej drewnianej prowincjonalnej budy. Jest to aktorka (jeśli się tak można o pięknej kobiecie wyrazić) całą gębą, ale nie starczy jej wdzięku i kunsztu aktorskiego na utrzymanie mizernego zespołu farsy, która nagle zachciała być komedją. Pan Różański, mimo że ucharakteryzował się na Hindenburga, nie zwyciężył, jak ten ostatni przy wyborach, lecz przepadł ze swoją rolą. Aktor udający szczekanie psa za scenę jest szczerym, skromnym i wielkim artystą. Dekoracje ohydne.

Antoni Słonimski.

Skandal

w nieeleganckim „Świecie"

W wielkanocnym numerze „Świata", poświęconym młodej twórczości polskiej w literaturze i sztuce, jest na czele artykuł p. Jana Lorentowicza o nowej polskiej poezji. Mniejsza o to, co o niej napisał; będziemy się z tem rozprawiali, kiedy pan Lorentowicz wyda swoją oddawna zapowiadaną książkę, gorsze jest to, czego nie napisał, a czego po nagrodzonej przez Związek Wydawców sumienności pana Lorentowicza najmniej mogliśmy się spodziewać. Pan Lorentowicz z najlepszą swoją miną segregując, rozpatrując wszystko, co formalnie należy do poezji, bo jest rymowane (czasem nawet nie) i drukowane, redakcja „Świata" nie wahając się zareprodukować fotografji p. Peipera na stronicy, z której spoglądała dotychczas conajmniej panna Majdrowicz — oboje (t. j. p. Lorentowicz i redakcja) włażąc po uszy w młodość, szaleństwo i nowe prądy — zapomnieli tylko o jednym, t. j. o Antonim Słonimskim, oczywiście nie bez powodu, tylko dlatego, że w „Wiadomościach" było niedawno bardzo bez pardonu ale bynajmniej nie obraźliwych parę słów, podpisanych przez Słonimskiego, o „Djable i karczmarce".

Sam djabeł teraz nie dojdzie, jak tam w sprawie zatajenia przed publicznością kilku tomów Słonimskiego rozmawiali ze sobą p. Lorentowicz, prezes i p. Krzywoszewski, wiceprezes Klubu Literackiego, który ma się zajmować propagandą i honorową reprezentacją naszej literatury — ale jeśli jest prawdą, co mówią na mieście, że p. Krzywoszewski zwyczajnie zabronił p. Lorentowiczowi pisać o Słonimskim, a ten się na to zgodził — to jest to poprostu gruby skandal, po którym trzeba się będzie poważnie zastanowić, czy my czasem nie strzelamy fatalnych byków, podstawiając obu tym panom rozmaite stolce prezesowskie w tem mniemaniu, że lokujemy na nich wcielone powagę, rzetelność i dobre manjery, bo przecież lepszych pisarzy możnaby od biedy na te honory wynaleźć.

Jeśli dla kogoś jest to zanadto górny argument, że literatura nie jest rzecz prywatna, tylko sprawa ogólna wyższego rzędu, to biorąc po sklepikarsku historja ze Słonimskim wygląda tak jakbym przyszedł do sklepu kolonjalnego dajmy na to po pieprz, a pp. Lorentowicz i Krzywoszewski powiedzieli mi, że pieprzu wogóle na świecie niema.

Co do tego zaś, że p. Lorentowicz, nie wymieniając nazwiska Słonimskiego, przyczepił się do jego powiedzenia, iż nie czuje się Polakiem (Żydem także), zostawiając w spokoju innych, którzy nic podobnego co Słonimski nie powiedzieli, to lepiej przypuszczać, że to jest niełady chwyt p. Lorentowicza, aniżeli że poważny krytyk w dobrej wierze robi takie segregacje.

Red.

„AMERYKA—POLSKA"

NUMER 4 KWIETNIOWY ZAWIERA:

Artykuły: Organizacja pracy. — Cudotwórca amerykański, Tomasz Edison. — W wirze gotówki i czeków. — Gdy cię gnębi drożyzna... — i wiele innych.

Ogółem około 20 artykułów, w tem nowela amerykańska i powieść Szpyrkówny.

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE

Cena zeszytu zł. 2.50

„ISKRY"

TYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

nr. 17

B. Dyakowski: Z przyrody Bałtyku. — **T. C. Bridges:** Napowietrzni żeglarze. — **K. Sosnowski:** Mokra wycieczka. — **M. Fularski:** Pod niebem Brazylji. — **K. Rosinkiewicz (Rojan):** Złoty sen Lamikai. — Z życia młodzieży. — Kącik dobrych znajomych. — Nasze listy. — Rozrywki.

Cena zł. 0.45

WYSZEDŁ JUŻ W ZNACZNIE ZWIĘKSZONEJ OBJĘTOŚCI

miesięcznika ilustrowanego

Nr. 4 Z CAŁEGO ŚWIATA

i zawiera:

JOSEPH CONRAD-KORZENIOWSKI: „Gospoda pod «Dwiema Wiedźmami»" (ilustracje K. Mackiewicza). — IRENA BRIARES: W ojczyźnie Napoleona. — M. JAROSŁAWSKI: Tajemnice amuletów i talizmanów. — E. LIGOCKI: Giovinezza, Giovinezza (ilustr. T. Gronowskiego). — ESTEVI: Twórcy śmiechu na ekranie. — J. G.: Dwa skarbce Polski. — J. B. CZARNOMSKI: Alma Mater Judeorum. — LUDOMIR RÓŻYCKI: Valse lente. — AL. ŚWIDWIŃSKI: Gdybym był bogatym. — Szachy. — Rozrywki umysłowe. — Krzyżówki.

Trójbarwna okładka T. ROŻANKOWSKIEGO

Cena numeru tylko zł. **1.80**

W numerze 133 ilustracyj, 8.500 wierszy tekstu

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH, FILJACH KSIĘGARNI KOLEJOWYCH „RUCH" ORAZ KIOSKACH GAZETOWYCH

WYDAWNICTWO BIBLJOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH WARSZAWA, SIENKIEWICZA 12

MAŁY REMINGTON

trwały, lekki, tani, niezbędny w domu, w biurze, w podróży

Posiada 42 klawisze jak duża wzorowa maszyna

BLOCK-BRUN S. A.

Warszawa Hotel Bristol

Tom XXIX

Bibljoteki Dzieł Wyborowych:

IBANEZ

CZTERECH JEŹDŹCÓW APOKALIPSY

Cena w prenumeracie 1 zł. 23 gr. (w oprawie)

Wydawnictwo „Librairie de France"

L'AMOUR DE L'ART

jedyne wielkie wydawnictwo francuskie, informujące czytelników o bieżącym międzynarodowym ruchu artystycznym

VI rok

Redaktor naczelny WALDEMAR GEORGE

Każdy numer zawiera 32 strony i około 60 ilustracyj

12 numerów rocznie, nadto numery specjalnie dostarczane stałym prenumeratorom gratis

Kto zaprenumeruje „L'Amour de l'Art" otrzymuje, oprócz pisma:

1. Piękny autoportret Cézanne'a lub „Filiżankę czekolady", pastel Degasa (do wyboru), heljograwiury formatu 38 × 56

2. Album sztuki afrykańskiej, tekst H. Clouzota i A. Levela, 60 reprodukcyj

3. Szereg numerów specjalnych, bogato ilustrowanych

Prenumeratę „L'Amour de l'Art" przyjmuje administracja „Wiadomości Literackich", Warszawa, Świętokrzyska 30 m. 5, gdzie można przejrzeć zeszyty okazowe

Opłata roczna wynosi fr. franc. 75. — którą należy wpłacać do administracji lub do P. K. O. na konto № 8515 w złotych po kursie dnia wpłaty

SCENA POLSKA

Organ Związku Artystów Scen Polskich

Ukazał się obficie ilustrowany zeszyt czwarty i zawiera pracę prof. dr. *Andrzeja Tretiaka* p. t. „Scena Szekspirowska", artykuły oryginalne *Hermona Ould*a o „Teatrze angielskim w r. 1924", *Horacego Shippa* o „Drogach rozwoju sztuki dekoracyjnej w angielskim teatrze współczesnym", szereg artykułów z kraju i zagranicy (Francja, Niemcy, Austrja, Rosja), bibljografję i systematycznie opracowane materjały za kwartał III r. ub.

Skład główny w Księgarniach Gebethnera i Wolffa

Camera obscura

Dziwne pismo.

W dniu uroczystości sienkiewiczowskich (26 października 1924 r.) ukazał się numer 26 jakiejś „Gazety niedzielnej" — z wielkim portretem... Chopina na pierwszej stronicy i z wierszem na Jego cześć. O Sienkiewiczu — maleńka wzmianeczka kronikarska: „W niedzielę odbędzie się uczczenie zwłok (!?) Sienkiewicza. Na dworcu głównym i t. d. i t. d."

Należałoby sprawdzić, czy w numerze „Gazety niedzielnej" z 17 października (75 rocznica zgonu Chopina) był portret Sienkiewicza?

W „Kronice rymowanej" tego pisma znajdujemy zdanie:

„Dobrego a nowego mało w całym **tydniu,**
Drożyzna gniecie wszystkich jednako
dzień **przy dniu".**

To dla rymu.

W rubryce „Humor warszawski" — feljeton p. t.:

— Fetelonem.

A to, żeby było śmieszniej: zamiast „Telefonem".

Ameryka.

Z amerykańskiego „Słowa polskiego" (Utica), 10.X.1924.

Z kroniki:

„Oskarżenie niniejsze możliwem jest, że zostanie zamienione na utrzymywanie niebezpiecznej broni przy sobie"...

„Pomału jadąc powyższy wypadek byłby niemożliwym".

Z ogłoszeń:

„Powietrze staje się coraz zimniejsze i nie można dość wygodnie stać na otwartem polu i przyglądać się grze piłkowej. Miejcie się wygodnie w jednem z naszych Palt. Ceny są umiarkowane, a Plan **płać** i **zabieraj** daje wam czystego zysku 15 procent".

„Dziewięć z dziesięcich:

Wiadomem jest, że dziewięć z dziesięcich ludzi, którzy doczekają się wieku 65 lat, wymaga pomocy innych.

Tym dziesiątym człowiekiem, jest ten niezależny, ponieważ on przewidział przyszłość, poznał ważność oszczędności.

Wstąpcie w poczet naszych oszczędnych klientów i odkładajcie po małej sumie z każdego waszego zarobku, abyście mogli sobie zdobyć niezależną przyszłość.

Niech Damy Wam Naszą
Osobistą Kooperację".

„Dobre Obuwie dla Mężczyzn
Trzewiki o Charakterze"...

Z aforyzmów:

„Gdy kobieta cierpi na ból głowy, to rzecz naturalna, gdy się mężczyzna na to skarży, to napewno udaje".

„Matka dorosłych synów nigdy nie powie, że wszyscy mężczyźni są jednacy, a co stale twierdzą zawiedzione żony".

Propozycja.

„Panią z chusteczką w rączce uprzejmie proszę o powtórzenie propozycji. „Przyjaciel".

(„Republika", 30 października 1924).

Biuro w oblężeniu!

Anons instytutu tępienia robactwa w „Kurjerze Warszawskim" (1 listopada 1924):

„Gdy cię swędzi coś pod skórą,
I robaczka ujrzysz ślad,
Wnet alarmuj nasze biuro,
Siedemnaście, Nowy Świat".

TEATR

QUI PRO QUO

dziś i codziennie

Program nr. 8

Hallo! Ciotka!

udział całego zespołu

Bibljoteka „Rhombus"

najtańsze i najlepsze książki francuskie i angielskie

Wielki wybór dzieł francuskich i angielskich klasyków oraz autorów współczesnych

Cena tomu 50 groszy

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Katalogi na żądanie bezpłatnie

J. A. POŻARIK

„Bibliothèque Rhombus"

Warszawa, Długa 45; tel. 61-73

Tydzień bibljograficzny

Historja literatury, krytyka estetyczna

Feliks Araszkiewicz. Bolesław Prus i jego ideały życiowe. Z przedmową dr. **Juljana Krzyżanowskiego.** Lublin, Dom Wydawniczy F. Głowiński i S-ka, 1925; str. 16nl. i 202 i 2nl.

Wacław Borowy. O „Przepióreczce" Żeromskiego. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1925; str. 27 i 1nl. Zł. 0.80.

Witold Hoyer. Zagadnienie wolnego handlu w literaturze i publicystyce polskiej końca XVIII w. Odbitka z rocznika Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie. Warszawa, nakładem autora, 1925; str. 44. Zł. 2.50.

Powieść, nowela

Bibljoteka laureatów Nobla. **Björnstjerne Björnson.** Synnöwe Solbakken. Przełożył **F. Mirandolla.** Lwów, nakładem Wydawnictwa Polskiego, 1925; str. 4nl. i 259 i 5nl.

Claude Farrére. Niezwykła przygoda Achmeta Paszy Dżemaleddina. Autoryzowany przekład i przedmowa **Kazimierza Bukowskiego.** Lwów, „Globus", (1925); str. 167 i 1nl.

Gustaw Olechowski. Listy z nizin. Wrażenia z Hollandji. Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, 1925; str. 96 i 4nl. Zł. 1.60.

Bibljoteka laureatów Nobla. **Henryk Pontoppidan.** Djabeł domowego ogniska. Przekład autoryzowany **F. Mirandolli.** Wydanie drugie. Lwów, nakładem Wydawnictwa Polskiego, 1925; str. 4nl. i 343 i 5nl.

Marja Rodziewiczówna. Nieoswojone ptaki. Powieść. Wydanie trzecie. Lwów, nakładem Wydawnictwa Polskiego, (1925); str. 4nl. i 270 i 6nl.

Bibljoteka laureatów Nobla. **Karol Spitteler.** Konrad porucznik. Gustaw. Przekład autoryzowany **Bronisławy Neufeldówny.** Lwów, nakładem Wydawnictwa Polskiego, 1925; str. 8nl. i 321 i 7nl.

Jan Szczepkowski. Włodcy kniei. Obrazki myśliwskie. Wydanie drugie. Poznań, nakładem Księgarni św. Wojciecha, 1925; str. 2nl. i 208 i 4nl.

Poezja

Lucjan Konarski, Czarne łabędzie. (Poezje). Warszawa, księgarnia M. Ostaszewskiej i S-ki, 1925; str. 144 i 2nl.

Wacław Urbankowski. Błękitne serca. (Poezje). Warszawa, wydawnictwo E. Rogozińskiego, 1925; str. 28 i 4nl.

Dramat

Bibljoteka dramatyczna. Tom I. **Kazimierz Brończyk.** Hetman Stanisław Żółkiewski. Dramat. Przedmowa **Jana Lorentowicza.** Warszawa, nakładem „Życia Teatru", 1925; str. 10nl. i 90.

Bibljoteka teatrów amatorskich. Nr. 168. **Adam Grzymała-Siedlecki.** Spadkobierca. Komedja. Lwów, „Odrodzenie", 1925; str. 104. Zł. 1.40.

Filozofja

Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój. V rocznik Kasy im. Mianowskiego, instytutu popierania polskiej twórczości naukowej. Z dwiema fig. w tekście. Warszawa, 1925; str. 6nl. i 551 i 3nl.

Religja

Jan Hempel. Dziesięcioro przykazań. II wydanie. Warszawa, „Książka", 1925; str. 56.

Historja i geografja

Zofja Findeisenówna. Hołd pruski. W czterechsetletnią rocznicę złożenia hołdu. Z rysunkami **J. Matejki** i **K. Gorskiego.** Warszawa, nakładem „Naszej Księgarni", 1925; str. 48.

E. Maliszewski i **B. Olszewicz.** Podręczny słownik geograficzny. Zeszyt 15. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, (1925); str. 64.

Przyroda

Tom II. **Dezydery Szymkiewicz.** Bibljografja flory polskiej. Kraków, Polska Akademja Umiejętności, 1925; str. 2nl., 158 i 2nl. Zł. 6.—

Nauki społeczne

Prace Instytutu Socjologicznego. I. **L. Dobrzyńska - Rybicka.** Wybory powszechne w świetle psychologji społecznej i etyki. Poznań, nakładem Księgarni św. Wojciecha, 1925; str. 2nl. i 47 i 1nl.

Jan Hempel. P. P. S. w ruchu spółdzielczym. Warszawa, „Książka", 1925; str. 56.

Piotr Kropotkin. Zdobycie chleba. Wydanie II-gie podług XIV-go wydania oryginału, pod redakcją i z przedmową **Edwarda Godwina.** Kraków, księgarnia Czarneckiego, 1925; str. 4nl. i 187 i 1nl.

Bibljoteka wyższej szkoły handlowej. **T. R. Malthus.** Prawo ludności. Wydał, objaśnił i poprzedził przedmową **Adam Krzyżanowski.** Przetłumaczył **K. Stein.** Warszawa, Gebethner i Wolff, (1925); str. 183 i 1nl. Zł. 4.50.

Dr. **Franciszek Stefczyk.** Stanowisko spółdzielczości w rolnictwie. Warszawa, wydawnictwo Zjednoczenia Związków Spółdzielni Rolniczych R. P., 1925; str. 16. Zł. 0.20.

Nauki stosowane

E. Borysewiczówna. Praktyczna hodowla drobiu. Warszawa, Stowarzyszenie Pracowników Księgarskich, 1925; str. 141 i 3nl. Zł. 5.—

Józef Grycz. O polskie przepisy katalogowania. Kraków, 1925; str. 15 i 1nl. Zł. 1.—

Praktyczna encyklopedja gospodarstwa wiejskiego. Nr. 22—24 **R. Prawocheński.** Pochodzenie, pokrój i rasy koni (z 59 rycinami w tekście). Warszawa, Księgarnia Rolnicza, 1922; str. 6nl., 256 i 2nl. Zł. 12.—

Stefan Röhrenscheł. 12 miesięcy w pasiece. Wydanie III ze 169 rycinami i barwną tablicą. Tarnów, Księgarnia K. Kwiczali, 1925; str. 352. Zł. 6,50.

W. Stepek, ppłk. żand. **Z. Hoffmann-Krystańczyk,** kpt. Służba śledcza. Podręcznik dla organów bezpieczeństwa. Z 58 rycinami. Wydanie drugie. Poznań, nakładem autorów, 1925; str. 16nl. i 380. Zł. 8.—.

Dr. med. **Kazimierz Maciejewski.** Podręcznik statystyki. Teorja statystyki. Warszawa, Kasa popierania prywatnych badaczów naukowych, 1925; str. 111 i 1nl. Zł. 3.—

Książki dla młodzieży

Z. Bukowiecka. Złota Elżunia. Podług powieści **Eugenji Marlitt.** Wydanie piąte. Warszawa, M. Arct, (1925); str. 230 i 2nl. Zł. 5.—.

Bracia Grimm. Bajki (z ilustracjami). Łódź, L. Fiszer, (1925); str. 4nl., 392. Zł. 18.—

Aleksander Janowski. Nasz plac. Opowiadanie dla dzieci. Wydanie trzecie z licznemi rysunkami. Warszawa, M. Arct, (1925); str. 147 i 5nl. Zł. 4.50.

Konik Jędrusia. Ułożyli **Zygmuś Mruczek** i **Ania Bergman.** Warszawa, „Zdrój", (1924); str. 32nl. Zł. 4.50.

Jerzy Orwicz. Wódz narodu. Powieść z czasów młodości Tadeusza Kościuszki. Wydanie drugie. Z 6 rysunkami **Marji Gawałkiewicz - Chywińskiej.** Warszawa, M. Arct, 1924; str. 301 i 1nl.

Ewa Szelburg-Ostrowska. U leśnego dziadka. Z ilustracjami **Antoniego Gawińskiego.** Warszawa, M. Arct, 1924; str. 127 i 3nl.

Janina Porazińska. Kichuś majstra Lepigliny. Rysunki wykonał **Antoni Gawiński.** Warszawa, M. Arct, 1924; str. 157 i 3nl.

Zuzanna Rabska. Baśnie kaszubskie. Z rysunkami **Molly Bukowskiej.** Warszawa, M. Arct, 1925; str. 98 i 2nl. i 13 rycin. Zł. 7.50.

Zofja Rogoszówna. Klituś bajduś. Gadki, piosenki, zabawy dziecięce, spisane z ust ludu i wspomnień dzieciństwa. Ilustracje **Anny Gramatyki - Ostrowskiej.** Muzyka **Stanisława Colonny-Walewskiego.** Warszawa, M. Arct, (1924); str. 44nl.

Zofja Sikorska. Ania i jej przyjaciele. Powieść z życia skautów. Okładkę i rysunki w tekście wykonał **Aleksander Świdwiński.** Warszawa, „Bibljoteka Polska", (1924); str. 122 i 2nl. i 9 rycin.

Juljusz Słowacki. O Janku co psom szył buty. Rysunki **A. Gawińskiego.** Bajka. Warszawa, M. Arct, 1925; str. 14 i 2nl. Zł. 2.50.

Helena Sobańska. O maleńkiej Marcysi i o gwiazdkach z nieba. Bajka w trzech aktach. Okładkę i rysunki w tekście wykonał **Aleksander Świdwiński.** Warszawa, „Bibljoteka Polska", (1924); str. 73 i 1nl. i 4 ryciny.

Jonatan Swift. Podróże Gulliwera do krainy Liliputów i do krainy Olbrzymów. Dla młodzieży opracował **P. Laskowski.** Warszawa, „Zdrój", (1924); str. 118 i 2nl. Zł. 6.20.

K. Przerwa - Tetmajer. Janosik król Tatr. „Legenda Tatr" w opracowaniu dla młodzieży. Warszawa, „Zdrój", (1924); str. 176. Zł. 8.— (kart.), 10.— (pł.).

Ernest Deton Thompson. Dzielny rogacz i inne opowiadania z życia zwierząt. Spolszczyła **Marja Arct-Golczewska.** Warszawa, M. Arct; 1924; str. 206 Zł. 5.50.

Przygody Syndbada żeglarza. Bajek z tysiąca i jednej nocy serja trzecia. Opracował **Józef Zorecki.** Warszawa, „Zdrój", (1924); str. 4nl. i 104. Zł. 5.20.

Miscellanea

Lord Chesterfield. Sztuka życia. Rady i aforyzmy z „Listów do syna". Zebrał i przełożył **Maciej R. Wierzbiński.** Poznań, nakładem Księgarni św. Wojciecha, 1925; str. 4nl. i 80.

Kazimierz Kierkowski. Przewodnik po Włoszech, ze szczególnem uwzględnieniem Rzymu (z ilustracjami i mapą kolejową Włoch). Warszawa, nakładem B. Grabowskiego, 1925; str. 16nl. i 142 i 2nl.

Władysław Rabski. Walka z polipem. Wybór feljetonów (1918—1924). Poznań, nakładem Księgarni św. Wojciecha, 1925; str. 709 i 3nl.

Prof. dr. **Adolf Chybiński.** Dzwony pasterskie ludu polskiego na Podhalu (z 10 rysunkami). Kraków, nakład Polskiej Akademji Umiejętności, 1925; str. 57 i 1nl.

Pułkownik **Adolf Małyszko.** Uwagi oficera polskiego. Warszawa, Księgarnia Wojskowa, 1925; str. 2nl., 140 i 2nl. Zł. 5.—.

Wydawnictwa lekarskie Książnicy-Atlasu. Doc. dr. **Jan Nowaczyński.** Mikroskopja i chemja kliniczna z uwzględnieniem badań serologicznych. Podręcznik do użytku studentów i lekarzy. Tom I. Badanie krwi, wysięków i przesięków oraz płynu mózgowo-rdzeniowego. Z 18 rysunkami w tekście i 3 barwnemi tablicami. Warszawa, Książnica - Atlas, 1925; str. 8nl. i 242. Zł. 12.—.

GEBETHNER i WOLFF

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁODŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

POLECA

NOWOŚCI ZE OSTATNICH DNI

Baranowska - Borowa J. i *Wierzbińska J.* — Metodyka nauczania śpiewu w szkole ogólnokształcącej. Podręcznik dla nauczycielstwa szkół ogólnokształcących i młodzieży ostatnich kursów seminarjum . . . . . 3.—

Bogucka C., Niewiadomska C., Warnkówna J. — Pierwsze ćwiczenia do nauki poprawnego pisania. Stopień I. wyd. 25 . . . 0.50

Czerniawski T. — Pierwsze zasady muzyki w teorji i praktyce. Podręcznik dla szkół muzycznych średnich ogólnokształcących i seminarjów nauczycielskich. Cz. III. . . . . 3.—

Ernst M. — Kosmografja. Podręcznik dla szkół średnich. Wyd. IV. poprawione i uzupełnione. Z 76 ryc. . . . . 6.—

Goetel F. — Ludzkość. Dwa opowiadania 3.50

Kazuro St. — Kurs wstępny nauki śpiewu. Pierwsze czytanie dla starszych dzieci w szkołach ogólnokształcących i muzycznych. Metodyka dla uczących się. Wyd. 3 . . . . . 0.50

— Małe solfeggio, z piosenkami. Cz. I dla szkół ogólnokształcących i muzycznych. Wyd. 3 . . . . . 1.—

Kraszewski J. I. — Żywot i przygody hrabi Gozdzkiego. Pan Starosta Kaniowski. Wyd. II (B. U. L. — Nr. 81) 0.50

Malthus T. R. — Prawo ludności. Wydał, objaśnił i poprzedził przedmową Adam Krzyżanowski. Przetłomaczył K. Stein . . . 4.50

Ostrowski J. — Chorągiew na dachu. Powieść 6.50

— Sztandar na maszcie. Powieść 5.50

Prus B. — Placówka. Powieść. Wyd. 9 popularne 3.75

— Placówka. Powieść. Wyd. 10. (Pisma, t. III) . . . . 6.—

Reymont Wł. St. — Pisma. Tom XIV. Rok 1794. Insurekcja. Wyd. 3 . . . . . 8.50

— Tom XV. Wampir. Powieść. Wyd. 3 . . . . . 5.50

Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 14 maja 1924 r. o przerachowaniu zobowiązań prywatno-prawnych, wraz z rozporządzeniami, uzupełniającemi o przerachowaniu wszelkich należności prywatno- i publiczno-prawnych z motywami i objaśnieniami oraz z dodatkiem dla nieprawników, opracowanemi przez prof. Fryderyka Zolla i dr. Bronisława Hełczyńskiego. Wyd. drugie, znacznie powiększone . . . . . 12.—

Sienkiewicz H. — Pieszo przez Czarny Ląd. (Listy z Afryki). Cz. II. Wyd. nowe (B. U. L. — Nr. 32) 0.50

Szober St., Niewiadomska C., Bogucka C. — Nauka pisowni we wzorach i ćwiczeniach. Zeszyt I B. Wyd. 11 . . . . . 0.70

Tetmajer K. — Ksiądz Piotr. Nowela, odznaczona I nagrodą na konkursie „Czasu". Wyd. nowe (B. U. L. — Nr. 39) . . . 0.25

NUMER MARCOWY (39) „SKAMANDRA"

zawiera:

Antoni Słonimski: Ostatnia podróż. List. Menu. Flamengo. Rio. — **Juljan Bronowicz:** Wzywanie trzeciego cudu (z powodu „Przedwiośnia" Żeromskiego). — **I. K. Iłłakowicz:** Psalm nowoczesny. — **Józef Wittlin:** Na oczy (elegja). — **Jerzy Liebert:** Do świętej Katarzyny Genueńskiej. — **Mieczysław Braun:** Ciało. — **Juljan Tuwim:** Hokus-pokus. — **Stanisław Ignacy Witkiewicz:** Warjat i zakonica czyli Niema złego coby na jeszcze gorsze nie wyszło (krótka sztuka w 3 aktach i 4 odsłonach). — **Jalu Kurek:** Pielgrzymi. — **Władysław Broniewski:** Kabała. — **Leonard Podhorski-Okołów:** Mechanizm twórczości poetyckiej w świetle budowy przysłów.

Okładka TADEUSZA GRONOWSKIEGO.

Zeszyt pojedyńczy zł. 3.— Prenumerata z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie. Dla abonentów „Wiadomości Literackich" 25% zniżki.

Redakcja: Złota 8 m. 5. tel. 132-82.

Administracja: Świętokrzyska 30 m. 5, tel. 223-04. Konto czekowe 85-15

„UNDERWOOD PORTABLE"

NAJLEPSZA MAŁA MASZYNA DO PISANIA

G. GERLACH

WARSZAWA — OSSOLIŃSKICH 4

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol.. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście; drobne 5 groszy za słowo. Kolumna posiada 6 szpalt

REDAKCJA: Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Świętokrzyska 30 m. 5, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 46-73

Redaktor. MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI.
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI.